

ROK LIX.

CENA NUMERU 1.40 gr.

Nr. 8

B I L U S Z C Z



WARSZAWA, 20 LUTEGO 1926 ROKU

OD ADMINISTRACJI

Sz. Panie Prenumeratorki prosimy: 1) o zaznaczenie na czekach P. K. O. za jaki miesiąc prenumeratę wpłacają; 2) o podawanie na czekach P. K. O. DOKŁADNEGO SWEGO ADRESU.

W Administracji „Bluszczu” są do nabycia następujące książki:

Zofja Machowiczowa	„Zbiór Monogramów” z przesyłką	zł. 5.—
Annie Vivanti	Naja Tripudians (Żmija Egipska)	„ 3,00
J. Conrad	Sześć Opowieści	„ 1,95
„	Smuga Cienia	„ 1,95
J. London	Odszczepieniec	„ 0,95
E. G. Wells	Wehikuł Czasu	„ 0,95
W. Gomułicki	Siódme Amen	„ 0,95
A. Dumas	Dama Kamelijowa	„ 0,95
Winawer	Lepsze Czasy	„ 0,95
W. Grubiński	Nowele	„ 0,95
Tetmajer-Przerwa	Waterloo	„ 0,95
G. Maupassant	Miłość	„ 0,95
„	Panna Fifi	„ 0,95
J. London	Opow. Mórz Południowych	„ 0,95
J. Kraszewski	Hr. Cosel t. I.	„ 0,95
„	II.	„ 0,95
„	Ostatni z Siekierzyńskich	„ 0,95
J. London	Syn Słońca	„ 0,95
„	Serce Kobiety	„ 0,95
„	Wilk Morski t. I.	„ 0,95
„	„ II.	„ 0,95
„	„ III.	„ 0,95
„	Zew Krwi	„ 0,95
„	Wyga	„ 0,95
Dygasiński	Złamane Życie	„ 0,95
K. Dickens	Opowieść Wigilijna	„ 0,95
Mark Twain	Król i Osioł	„ 0,95
E. Ligocki	Powrót Beatryczy	„ 0,95

KOSZTA WYSYŁKI ZWYKŁEJ 15 GR. — POLECONEJ 45 GR.
PO OTRZYMANIU ZNACZKAMI POCZTOWEMI WYMIIENIONEJ SUMY, KSIĄŻKI
WYSYŁAMY NATYCHMIAST POCZTĄ.

JUŻ WYSZŁA Z DRUKU

ANNIE VIVANTI

FASCYNUJĄCA NOWOŚĆ

NAJA TRIPUDIANS

(ŻMIJA EGIPSKA)

ŚWIETNIE TŁUMACZONA PRZEZ T. JAKUBOWICZA

Cena 3 zł., z przesyłką poleconą 3 zł. 50 gr. Na składzie w Administracji „Bluszczu”. Wysyłka polecona po poprzednim nadesłaniu należytości.

UWAGA: w poprzednim numerze podano mylnie cenę 2 zł. 50 gr.

2 TOMIKI ZŁ. 5.

ANNA SŁONCZYŃSKA

2 TOMIKI ZŁ. 5.

MUZYKA SŁOŃCA I BOŻE GNIAZDO

Nakład Ludwika Chomińskiego. Wilno.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

KTO MA BRODAWKI NA TWARZY I RĘKACH
KTO CIERPI NA ODCISKI (ODGNIATY) NA NO-
GACH, NIECH KUPI PASTĘ

ESTA

ZNANĄ OD CZTERDZIESTU LAT ZE SWEJ
SKUTECZNOŚCI, CZEGO DOWODEM SETKI
UZNAŃ I PODZIĘKOWAŃ

wyrebu aptekarza E. SOKALSKIEGO w Kętach—Małopolska.



ROK LIX

N° 8

WARSZAWA, 20 LUTEGO 1926 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Błędne koło—C. W. Z własnej winy—H. C. Jedenastomiesięczne szkoły gospodarstwa wiejskiego dla dziewcząt—H. B. Nieznany cykl Artura Grottgera—K. B. Wiersze: „Soowiedz”—Felicia Kruszevska. Meriam córka Kaida—G. Milanesi (tłum. T. J.) Myśl o tem co chcesz (c. d.)—Helena Ceyssingerówna. Margarbina de Bois de Boulogne (groteska w 3 aktach (c. d.)—Magdalena Samozwaniec. Poddój siedziby—Rudyard Kipling (tłum. Koziełło-Poklewska). Córka Boga (c. d.)—Z. Zawiszanka. Z żałobnej karty—J. W. K. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Z książek—H. B. Z teatrów—Z. P. Dział praktyczny: Mody i roboty. Poduszka z weneckiej gipjury. List z Paryża—Sekwa. Starość—N-sko. Z dziedziny kosmetyki (dok.)—Dr. J. Świtalska. Hodowla jedwabników (c. d.)—J. S. Zakładanie inspektów—Stan. Schönfeld. Hodowla drobiu—H. B. O dyspozycji obiadów—Pani Elżbieta. Przepisy gospodarskie—Pani Elżbieta. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Nadesłane do redakcji. Dodatek po-wieściowy: „Jaremką i Hamlet” (kronika zdarzeń z życia pewnego chłopca, jego psa i prowincjonalnego miasta c. d.)—Hugh Walpole (tłum. z angielskiego Irena Wasilutyńska). TABLICA KROJÓW.

BŁĘDNE KOŁO



ankieta, przeprowadzona niedawno przez Ligę Pracy, wykazuje, że na 14 studentów kończy u nas wyższe studia zaledwie jeden, a na politechnice warszawskiej nawet jeden na 22. Ponieważ do szkół średnich wstępuje 37000 uczniów corocznie, a szkoły wyższe kończy w tym terminie 2900 — 3000 słuchaczy, czyli 8% ogółu, zatem dochodzimy do wniosku, że 92% uczniów szkół średnich albo rezygnuje z wyższej nauki, albo przerywa ją w połowie. Ze względu że szkoła średnia w obecnym swoim ustroju nie daje całokształtu wykształcenia, powstają zastępy wykolejeńców — albo niższych urzędników, którzy, stworzywszy rodziny, umierają z głodu, albo też wiecznych poszukiwaczy pracy, przerzucających się od zajęcia do zajęcia, zawsze stroskanych, zgryzionych, złorzeczących Polsce, społeczeństwu, losowi. Wyjątkowo sprytni, dochodzą do pewnych stanowisk, a nawet robią t. zw. karjery. Ale i oni w cichości ducha powtarzają s bie: „ale, gdybym umiał więcej!” Co krok czują braki wykształcenia, co krok sprytem i przebiegłością pokrywać muszą niedobory umysłowe.

Woła się wobec tego: „Zmieńmy ustrój szkolnictwa średniego! Podnieśmy szkolnictwo zawodowe! — Mniej będzie wykolejeńców”.

Może i prawda, lecz ileż zastrzeżeń dziś, gdy uginamy się pod klęską bezrobocia!...

Szkolnictwo zawodowe do czasu powstania wolnej Polski było u nas w zupełnem zaniedbaniu.

Jednak — czy w obecnych warunkach — młodzież nasza o wiele łatwiej może dojść do gruntownego fachowego wykształcenia, aniżeli do dyplomu z ukończenia pełnych studjów wyższych — uniwersyteckich, rolniczych, politechnicznych, handlowych.

Jeżeli góry trudności piętrzą się przed studentką, pochodzącą przeważnie ze sfer inteligencji, konającej z głodu, co nie ulega wątpliwości, że w równym stopniu gromadzą się one nad młodzieżą z warstw rzemieślniczych i robotniczych.

Kto dziś w Polsce—poza handlarzami dolarów—może zapewnić dzieciom swoim całokształt normalnej nauki w obranym kierunku?

Klęska bezrobocia — chciejmy wierzyć — minie przy ogólnej poprawie stanu gospodarczego w Polsce. Ale nawet gdy każdy stanie przy swoim warsztacie, czy nie wypadnie myśleć przedewszystkiem, jak podźwignąć się z długotrwałej nędzy? Czemu wypełnić puste kąty po wyprzedawanych gratach? Jak zdobyć odzież za bezcen — w chwilach najgorszych—sprzedaną handlarzom?—Nauka dzieci scho-dzi w takich razach na plan ostatni.

Najbardziej wykwalifikowany stolarz, ślusarz, krawiec, szewc, wałęsając się bezczynnie i patrząc ze zgrozą w mroczne jutro myśli: „Mam dać syna do rzemiosła, żeby głodował tak samo, jak i ja? Lepiej niech zgodzi się na posyłki, lata z gazetami po ulicach... Zarobi sobie choć na buty”... Zacznie tak chłopak w najlepszym razie chodzić do szkoły zawodowej, to po upływie połowy roku rzuci ją niewątpliwie.

Jeżeli rzecz przedstawia się rozpaczliwie w stosunku do chłopców, to sprawa zaostrza się tembardziej, gdy chodzi o dziewczęta. Zdolne i pracowite uczennice ostatnich kursów seminarjów nauczycielskich, mogące mieć za rok, dwa lata chleb pewny, zmuszone są opuszczać szkołę i brać byle jaką płatną posadę, bo rodzice nie są w stanie wyżywić ich i ubrać. To samo dzieje się na kursach ochroniarskich, w szkołach rękodzielniczych i rzemieślniczych miejskich, gdzie nauka jest za pół darmo, ale gdzie nie można świecić bosemi nogami i łachmanem na grzbiecie.

Na kształcenie dziewcząt zresztą zawsze mniejszą zwraca się uwagę w rodzinie, aniżeli na naukę chłopców. Każda — zaledwie chodzić zacznie, już jest potrzebna przy gospodarstwie i niańczeniu młodszych dzieci. Więc z lekkim sercem zostawia się je w domu, żeby później dopiero — gdy dorosną, one same uczyły ciernie krzywd nieuctwa swego.

Gdyby przeprowadzić wywiady w szkole zawodowej, napewno okazałby się nie większy procent uczniów i uczennic, kończących pełne kursy, jak w szkołach średnich i wyższych. Wygrywają los na loterii przeważnie wychowawcy i wychowanki burs, internatów społecznych, których kierownicy muszą zabiegać o rozmieszczenie ich po różnych szkołach i zapewnienie im całokształtu nauki w obranym kierunku. Kilka, a może kilkanaście tysięcy dzieci w Polsce — sierot, lub pół sierot, przeważnie ofiar wojny — ma zapewnione tym sposobem metodyczne wykształcenie w zawodzie, lub naukach ogólnych.

Są rodziny, gdzie starczy na liche wyżywienie i nędzne ubranie dzieci, ale gdzie żadną miarą

nawet grosza na opłacenie wpisów szkolnych odłożyć nie można. I wtedy marnuje się młodzież w gorzkim żalu do społeczeństwa za ten już naprawdę drobny stosunkowo brak pomocy w zapewnieniu nauki.

Nie zwiększy się liczba kończących szkoły wyższe, średnie i zawodowe, dopóki na szeroką skalę nie będzie rozwinięta opiekuńcza akcja społeczna. Dopóki nie powstaną bursy, internaty i nie tylko dla sierot, lub pół sierot, nie tylko dla bezpośrednich ofiar wojny, bo wszak moralnie i ekonomicznie wszyscy niemi jesteśmy, — ale dla każdego nieletniego, pozbawionego możliwości nauki. Tworzenie funduszy na opłatę wpisów szkolnych, popieranie towarzystw, mających na celu pomoc w zawodowym i naukowym kształceniu młodzieży, to są sprawy ważne, niecierpiące zwłoki. Ale kto zajmie się niemi?

Cały ciężar prac społecznych — organizowanie nowych placówek, podtrzymywanie dawnych, żebranie, składanie datków — spoczywały dotychczas na barkach inteligencji. Kto ją wyręczy, gdy — sama głodna — grosz swój ofiarny musi obracać na zaspokojenie własnych najniezbędniejszych potrzeb. Handlarz dolarami nie poruszy sakwy. Zresztą, czy taki grosz dałby ziarno pod siew błogosławiony?

Zmniejszenie budżetu administracji państwowej (w tem na samo Ministerstwo Oświaty przypadnie 270 milionów złotych) obniży pensje urzędnicze i rzuci na bruk zastępy bezrobotnej inteligencji. Więc jak wyjść z matni, jak stanąć poza błędnem kołem potrzeb i zadań, które piętrzą się przed nami?

C. W.



Z WŁASNEJ WINY



ardzo słusznie zauważyła p. Grossek-Korycka w jednym ze swoich feljetonów, że dziś właściwie dopiero pierwsze pokolenie kobiet inteligentnych zabrało się masowo do pracy zarobkowej i że jako nowicjuszeki, kobiety nie mogą posiadać jeszcze tego wyrobienia życiowego i tej umiejętności

zdobycia i bronięcia pozycji, atutów i wartości swoich, jaką posiadają mężczyźni.

Stąd — deprecjacja ich pracy, wprowadzona zresztą już poprzednio i zamieniona niejako w obyczaj przez kobiety nieinteligentne. One to, te miliony robotnic fabrycznych wszystkich krajów, pozwoliły się zepchnąć na ostatnie szczeble drabiny zarobkowej, godząc się za tę samą ilość wykonanej pracy na zapłatę często o połowę mniejszą, niż brał mężczyzna. Zgodziły się, bo musiały — oczy-

wiście, bo nie umiały się bronić. Za dopuszczenie ich do prawa pracy zapłaciły tą obniżką.

Dziś występuje na widownię kobieta inteligentna i spotyka się niejako z faktem dokonany. Pierwsze wkroczyły w szranki pracownice zawodów wolnych: lekarki, adwokatki, literatki, dziennikarki, artystki i t. d. Tu, owa deprecjacja nie dała się jeszcze odczuwać zbyt dotkliwie.

W zawodach wolnych stosuje się i wolną konkurencję. Tu decyduje wiedza, zdolności, talent. Więc, choć nie brak utrudnień, choć zamyka się szczelnie drzwi przed kobietami, raz po raz jakaś wybitna indywidualność kobieca otwiera je przebojem i pozostają już otwarte.

W Polsce powojennej, obok innych głębokich przemian w strukturze społecznej, dokonał się i masowy exodus kobiet inteligentnych z zakamarków domowych na pola pracy zarobkowej.

Znaczne zastępy kobiet pogarnęły się do biur, znajdując w organizującej się właśnie budowie nowego państwa niezajęte jeszcze placówki.

Nie wchodząc w to, czy zajęcie biurowe odpowiada najistotniejszym właściwościom kobiecej psychy, czy nie — liczymy się z faktem, że wedle danych Gł. Urzędu Statystycznego w r. 1923 zostawało w służbie państwowej polskiej 10874 kobiet, a i dziś zapewne, mimo chronicznych redukcji, znajduje się ich ilość nie wiele mniejsza.

Gdy zważymy, że urzędników państwowych mężczyzn było w tym samym czasie przeszło 37 tysięcy, to musimy przyznać, że wcale poważnym zażęciem weszły kobiety na służbę państwową. Ale za to w rozmieszczeniu ich na stopniach służbowych przejawiało się to samo upośledzenie, które zachodzi w przemyśle, w handlu, w bankowości i t. d.

Posługując się, jak i poprzednio cyframi przytoczonymi przez p. Zofję Guzowską w Nr. 5 „Bluszczu”, zwracam uwagę czytelniczek na ten niesłychany, poprostu, stosunek: 10244 urzędniczek przy 18527 urzędnikach III kategorii i tylko 630 urzędniczek I i II-giej kategorii przy również 18527 urzędnikach wyższych stopni.

Oczywiście, kategorjom odpowiada i uposażenie, i wpływy, i możność rozwinięcia pewnej inicjatywy twórczej.

Widać z powyższego, że ogół urzędniczek to maszynistki i manipulantki. Na służbie państwowej urzędniczek wyższych kategorii było wówczas tylko 630. A jest dziś pod tym względem gorzej niewątpliwie.

Przy redukcjach bowiem zwalniano przede wszystkim te wyższe kategorje. Maszynistki były wszak zawsze potrzebne. Dziś niektóre urzędniczki doszły już do dość wysokich stanowisk, ale są poprostu wyjątkami.

I to na losie kobiet urzędniczek zacieży, przede wszystkim przy stabilizacji. Jak widać z artykułu p. St. Sasorskiego „Kobiety w urzędach państwowych” (Nr. 50 „Bluszczu”) przy stabilizacji brani będą przede wszystkim pod uwagę urzędniczki pierwszej i drugiej kategorii. Sił zaś kancelaryjno-pomocniczych tylko bardzo niewielki procent dozna błogosławieństw stabilizacji. Te siły kancelaryjno-pomocnicze to przeważnie, to prawie cała ilość sił kobiecych w urzędach państwowych. Tu znów przychodzi mi się powołać na cytowany już poprzednio artykuł p. Guzowskiej, z którego dowiadujemy się, że zajmujące te podrzędne stanowiska kobiety mają przeważnie wykształcenie średnie, podczas gdy mężczyźni, zajęci po kancelariach, przeważnie wykształcenia średniego nie posiadają. Ci, którzy je zdobyli, poumieszczali się wszyscy w kategorii II-giej. W tem tkwi ta wielka niesprawiedliwość i to upośledzenie kobiet, którego p. Sasorski nie chciałby widzieć, a które jednak z tych dwu artykułów, zestawionych ze sobą, wyraźnie rzuca się w oczy.

Na jesieni roku ubiegłego, gdy rozpoczęto proces stabilizacyjny, w świecie kobiecym urzędniczym zawrzało. Zwracano się między innymi i do „Bluszczu”, nawołując go do spełnienia obowiązku i wystąpienia w obronie kobiet. Ale wrzenie owo miało całkiem specyficzny charakter i zdradzało w całej pełni to, na co w początku artykułu zwróciliśmy uwagę: niewyrobinienie życiowe kobiet. Żadnej organizacji, żadnych materiałów, żadnych danych statystycznych, żadnego planu postępowania! Pogłoski, wersje, panika, rozproszenie, nieświadomość obowiązujących w Państwie praw i przepisów — oto z czem nam się zetknąć przyszło.

Początki procesu stabilizacyjnego miały charakter bardzo różny w różnych urzędach. Tak np. w Głównym Urzędzie Statystycznym stabilizowano 12 mężczyzn i... 13 kobiet. Ale Gł. Urząd Statystyczny uchodzi za instytucję szczególnie sfeminizowaną. Ma to przyczyny, na które warto zwrócić uwagę.

W Gł. Urz. Stat. urzędnicy pierwszej kategorii — to siły naukowe, specjaliści wybitni w różnych działach wiedzy, i to są bez wyjątku mężczyźni. Naukowcom tym jednak potrzebne są siły pomocnicze innego rodzaju, niż w innych działach służby państwowej. Potrzeba im osób gruntownie wykształconych, często znających doskonale języki obce, o dużym ogólnym rozwoju umysłowym, a przytem o zdolności do pracy żmudnej, wymagającej uwagi i bystrości, a nadewszystko sumiennosci bardzo skrupulatnej i iście benedyktyńskiej pracowitości. Do tego nadał się doskonale pewien typ kobiet i te okazały się tak niezbędne i wartościowe, że nie można było ich nie stabilizować. Pozatem pracuje w Gł. Urz. Statystycznym cały szereg maszynistek, sił kancelaryjnych i t. d.

Procentowo więc nie przedstawia się rezultat stabilizacji tak świetnie dla kobiet, zajętych w Urzędzie, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło. W każdym razie jednak początek jest niejako lepszy.

Natomiast w Ministerstwie Kolei np. nie stabilizowano ani jednej urzędniczki. W innych urzędach akcja stabilizacyjna została zatamowana rozporządzeniem, nakazującym odłożenie całej sprawy na rok.

I w świecie urzędniczym kobiecym o stabilizacji ucichło. Przyszły nowe troski — redukcja mizernych pensyj, niemożność związania budżetowych końców. Za rok zacznie się znów o niej mówić, narzekać, radzić...

Tymczasem tę zwłokę należałoby wykorzystać na zorganizowanie się i przygotowanie do obrony swoich interesów. Przy końcu artykułu p. Sasorskiego znajduje się ustęp znamienity:

„Do tego, aby te sprawy (dotyczące wyłącznie, albo przeważnie urzędniczek) znaleźć mogły należyty wyraz i rozwiązanie, trzeba pewnego zbiórowego wysiłku urzędniczek na terenie Stowarzyszenia Urzędników państw. i współdziałania z Zarządem Głównym Stowarzyszenia. Sprawy są zbyt skomplikowane, aby je można było rozwiązać prostem hasłem, skargami, lub alarmami i artykułami prasowymi. Tylko wówczas, gdy się pozna zagadnienie w szczegółach i zacznie szukać dróg rozwiązania, będzie można uzyskać realne wyniki”.

Otóż to! Kwestja urzędniczek nie jest nawet poddana badaniu. Niema żadnej centrali, w której można byłoby dla artykułu prasowego uzyskać jakieś ściśle i wiarogodne materiały, tembardziej dla interpelacji sejmowej.

Oczywiście, tylko zbiorowy wysiłek może dać w tym względzie pozytywne wyniki.

Nie przesądzając, czy ten zbiorowy wysiłek dokonany ma być na terenie Stow. Urz. Państw., którego Zarząd, sądząc z artykułu p. S., zdaje się być życzliwie dla sprawy urzędniczek usposobiony, czy poza niem, a może nawet przeciw niemu, przekonani jesteśmy, że tak, czy inaczej, dokonać go trzeba.

Czy to będzie Sekcja urzędniczek w łonie Stowarzyszenia ogólnego, czy osobne Stowarzyszenie urzędniczek, na wzór istniejącego we Lwowie, które prowadzi naprawdę bardzo mizerny żywot —

w każdym razie potrzebna jest przede wszystkim organizacja.

Organizacji takiej zadania widzimy nie tylko w obronie przygodnej interesów urzędniczek w chwilach decydujących zmian, lub spodziewanych krzywd, ale także w wytwarzaniu pewnego zbiorowego tonu, opinii, współzycia, w wyrabianiu młodszych sił, w dostarczaniu im sposobności fachowego kształcenia się w obranym dziale służby państwowej, otwieraniu przed niemi szerszych horyzontów twórczej myśli państwowej i t. d. i t. d.

Życie urzędnicze jest szare, monotonne, dla kobiety przykrejsze, niż dla mężczyzny. By je rozświecić, trzeba nad niem zawiesić ideę, trzeba mu dać sens i cel.

To może zrobić tylko organizacja.

Obecnie śpieszyć się z nią trzeba, by klęski stabilizacyjne nie zaskoczyły znów świata urzędniczek naszych jakąś bolesną niespodzianką.

Jeżeli Panie nie pośpieszycie z podjęciem zbiorowego wysiłku, do którego, acz dyskretnie, nawołuje was nawet Zarząd Stowarzyszenia, tedy prze-

padniecie przy stabilizacji i będziecie wiecznie ruchomą falą, posłuszną wszelkim wahaniom politycznych i ekonomicznych prądów, a nie stałym i poważnym elementem państwowotwórczej pracy. Siły wasze i zdolności będą zawsze wyzyskiwane.

Będziecie pisały referaty dla referentów, którzy otrzymywać będą za nie awanse i odznaczenia, będziecie za zwierzchników waszych odrabiały ich zadania, tłumaczyły dokumenty na obce języki i t. p., a oni pobierać będą pensje i kształtować życie naszego kraju.

Wy zaś, z własnej winy, będziecie nieznany, lekceważonym automatem maszyny urzędniczej naszego Państwa.

Nikt za was tego zadania nie podejmie, nikt się o obronę interesów waszych nie zatroszczy, jeżeli wy same silną ręką nie ujmiacie steru waszych spraw.

To trudno! Kto chce dziś utrzymać się na rynku pracy i współzawodnictwa, ten musi bronić się i musi stwarzać sobie stanowisko zbiorowym organizacyjnym wysiłkiem.

H. C.

JEDENASTOMIESIĘCZNE SZKOŁY GOSPODARSTWA WIEJSKIEGO DLA DZIEWCZĄT*)

Szkół takich mamy w Polsce dwadzieścia kilka. Po większej części mieszczą się one na wsi; niektóre w dawnych dworach, inne w specjalnie na ten cel budowanych gmachach. Do tych wiejskich szkół należy zazwyczaj kawał roli, zabudowania, inwentarz, ogród warzywny i owocowy—całe gospodarstwo.

Większość uczennic—to córki gospodarzy. Po ukończeniu szkoły powracają do siebie na wieś. Nauczyły się w szkole wielu nowych rzeczy. Chciałyby je wprowadzić w życie. Ciężko to idzie, zwłaszcza gdy są w domu u rodziców. Ale zato na własnem gospodarstwie... jakżeby się zmienił obraz wsi, gdyby wszystkie gospodynie przeszły przez taką szkołę!

Są też dziewczęta z miasteczek i miast. Dla tych ważniejszym jest gospodarstwo domowe, niż ogród, rola i inwentarz. Najwięcej im chodzi o gotowanie i szycie.

Niektóre po skończeniu szkoły idą do seminarjów, lub do szkół zawodowych. Uczą się na instruktorki, nauczycielki.

Wstępują do szkoły z przygotowaniem bardzo nierównym. Są takie, które ukończyły tylko po parę oddziałów szkoły powszechnej i takie, które mają za sobą kilka klas szkoły średniej. Jedne wyglądają, jak wiejskie dziewczęta, inne, jak „panienki”.

Popatrzeć tylko, jak się zjeżdżają do szkół w polowie października: chusteczki i kapelusze, samodziła i krótkie, modne sukienki, ciepłe kaftany, miejskie palta, walizki, toboły i drewniane zielone skrzynki.

— Jak zobaczyłam, że inne koleżanki mają kapelusze, a ja w chusteczce, to pomyślałam, jakże ja żyć będę z niemi, z takimi paniami.

Tak zwierzała się Marysia. Ale nie wtedy, nie na samym początku, tylko znacznie później, gdy już

zapoznała się z koleżankami i z „paniami.” Kiedy się przekonała, że można mówić o tem, co się myśli i czuje i że bardzo jest miło dowiedzieć się, że inni myślą i czują tak samo.

Niepotrzebnie się bałaś, Marysiu! Okazało się przecie, że te kapelusze, chusteczki, warkocz na sztywno skręcony z tyłu i modne na uszach pendzelki, i twój różowy, wcięty w pasie kaftanik, i dwuoddziałowa szkółka w jakimś Podlasiu, i nawet cztery klasy gimnazjalne w samej Warszawie—słowem wieś i miasto, wszystko to tak jakoś ułoży się i utrzyma i żyje razem, że po jedenastu miesiącach wszystkie, wszystkie będziecie płakały, opuszczając szkołę, i będziecie słać do „pań” list za listem przez długie lata. A i paniom będzie bardzo niewesoło żegnać się z wami, bardzo niewesoło.

Ale początek jest ciężki: poprzyjeżdżały zdaleka, z różnych stron Polski. Niektóre pierwszy raz

*) SZKOŁY SAMORZĄDOWE: w Makoszynie—pocztą Sandomierz, w Mieszkowie—p. Działoszyce, w Podegrodziu—p. Nowy Sącz, w Sitnie—p. Zamość, w Teodorówce—p. Biłgoraj, w Albigoj—p. Albigoja, w Kościeleu—p. Koło, w Kowalewie—p. Kowalewo, w Nietążkowie—p. Śmigiel, w Tuchorzy—p. Wolsztyn, w Strumieniu—p. Strumień, w Trzepowie—p. Płock.

SZKOŁY PRYWATNE: w Imbramowicach—pocztą Wolbrom, w Bochowicach—p. Spytkowice, w Szywnawdzie—p. Szywnald, w Krasieninie—p. Lublin, w Nałęczowie—p. Nałęczów, w Korczynie—p. Krosno, w Przemyślu—p. Przemyśl, w Krotoszynie—p. Krotoszyn, w Marysinie—p. Luźnaniec, w Mirosławicach—p. Żychlin, w Nowym Przybyszewie—p. Mogielnica, w Leoniszkach—p. Wiłno, w Ustroniu—p. Wilno, w Witkowie—p. Witków Nowy

SZKOŁA PAŃSTWOWA w Krasieninie—pow. Lublin.

w życiu odbyły taką podróż. Są takie, które pierwszy raz jechały pociągiem.

Jest im obco, bardzo obco i dziwnie.

„Przykrzy się” za domem.

— O co popłakujesz, Hanka? Źle się czujesz w szkole? Tęsknisz za rodzicami?

— Eee nie, proszę. Żeby tak tęsknić, to nie. Ale mi się przykrzy.

Najgorzej przykrzy się w tę pierwszą niedzielę. Bo w dzień powszedni jest tyle roboty, że niema czasu na „przykrzenie się”.

Tyle nowych wrażeń!

Przedewszystkiem: koleżanki. Ta z Małopolski, ta z Pomorza, ta z Wołynia, z nad samej granicy.

Trudno im się zbliżyć do siebie. Są nienaturalne i sztywne. Mówią do siebie uroczyście: „czy koleżanka... proszę koleżanki...” Nie umieją się porozumiewać. Bo na wsi ludzie nie rozmawiają o wewnętrznych przeżyciach, ani o stanach duszy, tylko o interesach. A te wspólne interesy jeszcze nie zdążyły się wytworzyć.

Wspólne przeżycia znalazłyby się napewno, ale mówienie o nich przyjdzie dopiero później, gdy wytworzy się zaufanie i odnajdą się tajemnicze nici, wiążące myśli ze słowami.

Doprowadzą do tego panie”. Bo panie uczą nie tylko, jak uprawiać rolę i ogród, jak chodzić koło inwentarza, jak uszyć sobie koszulę i „sukienkę”, nie tylko geografii, historii i gramatyki, rachunków i chóralnego śpiewania na trzy głosy.

Bo oto co pisały uczennice same o sobie w którymś tam miesiącu bliżej końca.

„Och, jakże się cieszę bardzo, że teraz inaczej patrzę na ten świat miły, a taki cudowny! Wpierw to byłam taka głupia... to może nie, ale i niemądra. Dzień był, to robiłam, a jak noc, to spałam i ani pomyślałam o tym pięknym świecie.”

„Dawniej, podczas zimy, to siedziałam w domu i nic nie robiłam, bo zdawało mi się, że nie mam co robić. Ale teraz, to już wiem, co bym robiła...” „Tyle lat przeżyłam i dopiero teraz zrobiło mi się jasniej w głowie.”

To te jedenaście miesięcy wspólnej pracy, życia w zorganizowanej gromadzie, nauki, czytania, rozmów i ciągłego obcowania z „paniami” w atmosferze dobrej i czystej — wytwarzają „jasność w głowie” i „inne patrzenie na ten piękny świat.”

Jakże wygląda szkolny dzień, jeden z tych dni, które do takich zmian mają doprowadzić?

Rano po dzwonku i wspólnej śpiewanej modlitwie dziewczęta grupami idą do pracy.

Grup tych jest sześć. Obejmują one całość praktyki szkolnej.

Grupa hodowlana musi najwcześniej wstawać i iść do obrządków koło bydła, świń, drobiu. Dziewczęta wszystko robią same pod nadzorem nauczycielki-rolniczki. Uprzątają wnętrza budynków, czyszczą, karmią i doją krowy, tuczą świnię, zajmują się hodowlą drobiu, prowadzą gospodarstwo mleczne.

Grupa ogrodowa z nauczycielką-ogrodniczką na czele, pracuje w ogrodzie warzywnym, lub owocowym, stosownie do pory roku.

Grupa porządkowa pozostaje w domu i sprząta, czyści, szoruje. Musi utrzymać w porządku całą szkołę, sypialnię, jadalnię, świetlicę, klasę i t. d. Musi palić w piecach, dostarczać wody do kuchni i do mycia, oczyścić lampy, utrzymywać wszystko w czystości, dbać o ładny wygląd domu wewnątrz i zewnątrz. A także przygotować stół do śniadania, obiadu, podwieczorku i kolacji.

Rzeczą grupy kucharek jest znów ugotować na czas to śniadanie, obiad, kolację.

Piąta grupa—to praczki. Do nich należy wszystko, co ma związek z brudną bielizną, gorącą wodą, mydłem, balją.

Szоста grupa szyje, kraje, haftuje, wyszywa, pod okiem „pani od robót.”

Co tydzień uczennice przechodzą z jednej grupy do drugiej w pewnym określonym porządku. Po sześciotygodniowym okresie powracają znów do tej, od której zaczęły.

Oprócz praktyki mają wykłady teoretyczne z ogrodnictwa, hodowli, uprawy roli.

Parę godzin dziennie zajmują też lekcje: polski, historia, geografia, arytmetyka, śpiew. A jeszcze do tego wspólne, głośne czytania, streszczania i omawiania pięknych książek. I w późniejszych miesiącach—redagowanie gazetki szkolnej, czy Jednodniówek.

A także wycieczki do pobliskich miast, do fabryk, do szkół. W niedzielę i święta—zabawy, teatr amatorów, żywe obrazy, odczyty.

Więc dni są wypełnione po brzegi. Każdy z nich przynosi coś nowego, a wszystkie razem mijają szybko—że ani się opatrzyć, kiedy minęła jesień, zima, wiosna. Lato zwiastuje bliskie już pożegnanie, we wrześniu wszystkie dziewczęta rozjeżdżają się i wracają do domu.

Wracają inne, niż wyjechały. Nietylko dlatego, że umieją uszyć koszulę i bluzkę, ugotować dobry obiad, upiec ciastka i wyhaftować serwetkę.

Nietylko dlatego, że nabrały mnóstwo wiadomości z różnych dziedzin.

Inne są, bo widziały masę rzeczy nowych i nieznanych. A na stare i znane nauczyły się patrzeć nowymi oczyma.

Te, które przedtem nic nie robiły w domu, nauczyły się pracować, a więc i szanować pracę innych.

Te, które przedtem już pracowały w domu ciężko, jak woły robocze, nauczyły się organizacji pracy, wprowadzając do niej ład, sens i różne udoskonalenia.

Wszystkie—wnoszą nową atmosferę w zamieszkałe i twarde życie wsi.

A tymczasem Szkoła stoi pusta przez cały miesiąc. Bieli się, czyści, odświeża, odmalowuje, bo już nadchodzi październik. Przygotowuje się na przyjazd „tych nowych”.

H. B.



NIEZNANY CYKL ARTURA GROTTGERA

WARSZAWA II

Gdy w końcu 18-go wieku rozeszła się wieść o odnalezieniu nieznanego dotąd utworu Szekspira (nawiasem rzekłszy był to falsyfikat!), entuzjastyczni wielbicieli pielgrzymowali do cichego miasteczka nad brzegiem Awonu, by ujrzyć bezcenny pergamin i klęcząc ucałować go.

W samej rzeczy odkrycie takiej pośmiertnej spuścizny ma w sobie coś dziwnie rozrzucającego, jakby się głos, znany i kochany, raz jeszcze odezwał — z za grobu.

Ten, niewesoło zresztą zapowiadający się, nowy rok 1926 przyniósł nam taki niespodziany dar. Otrzymaliśmy w reprodukcji bodaj, *Nieznany cykl**) Artura Grottgera, artysty, który był wielkim poetą, cykl, który uważano za zaginiony. Historycy sztuki wiedzieli, że istniał warjant „Warszawy”, który Grottger malował w Wiedniu, że wysłany na światową wystawę do Londynu w r. 1862, zakupiony został przez prywatnego nabywcę i — że nigdzie go odzyskać nie można.

Został tylko opis pełen wdzięku, skreślony piórem kochającej kobiety: Karoliny Giżyckiej (F. M. Aren).

Odnalazły ten skarb w roku zeszłym dwie pannie: miss H. E. Kennedy i p. Zofja Umińska w zbiorach South Kensington Museum, do którego nabywca p. George Mitchell w r. 1878 testamentem go przekazał.

Są tam owe kartony starannie przechowane, ale nieoprawne, zamknięte w pudle, więc oczom ludzkim mało dostępne, a zresztą dla społeczeństwa angielskiego dziś prawie niezrozumiałe. Nie były nigdzie wystawiane, ani reprodukowane. W obecnym wydaniu po raz pierwszy dotarły do Polski i do miasta, które je natchnęło.

Wiadomo, że Grottger, bawiący w Wiedniu na studiach, przejęty do głębi wiadomościami z Warszawy z pierwszych miesięcy 1861 r. o manifestacjach religijno-patriotycznych, o brutalnych masakrach, dokonywanych przez żołdaków rosyjskich na bezbronnej ludności, stworzył cykl 7 obrazowy p. t. „Warszawa” i poświęcił go „pamięci poległych i rannych na ulicy Warszawy współbraci, a ku wiecznej morderców hańbie.” Te siedem obrazów znamy wszyscy prawie od dziecka. One to zyskały Grottgerowi sławę, zdobyły mu serca polskie.

Artysta wrócił raz jeszcze do tematu, który go tak bardzo przejął i skomponował cykl drugi, którego niestety nikt w Polsce ówczesnej nie widział. Aż dziś stanęła w obliczu Warszawy dnia dzisiejszego: miasta strejków i redukcji, kin i dancinów, owa dostojna i smutna Warszawa z przed lat 65-ciu. I może niejeden z nas smutno powtórzy za poetą**):

Lepiej było wtenczas!?

Była wiara i nadzieja,
Dziś jej niema...

Lepiej!

* * *

Wielce zasłużony wydawca Cyklu, prof. Mieczysław Treter, powiada: „Dziś „Warszawa” ma dla nas coś z żałosnej, sentymentalnej pamiątki, coś z woni zasuszonych kwiatów z sekretarzyka Babuni...”

Ośmielam się twierdzić, że w Grottgerze wogóle, a tym cudnym Cyklu specjalnie, jest coś więcej, jest wiecznie żywa, dumna i szlachetna dusza Narodu. Sentymentalnym nie jest ten rycerski ksiądz, nieustraszony w obliczu Losu, Wdowa jest nie tylko żalosną, ale heroiczną zjawą.

Poznała młodziutka zakochana cudzoziemka. „W tej żałobie jest energia, ból znosi z zaciśniętymi zębami i poprzysięga zemstę. Jest o tę kobietę, o tę Polkę — zazdrośna!” („Wspomnienia” K. Giżyckiej — Aren 1878).

Z 7 obrazów Warszawy II trzy (Chłopi i szlachta — Zamknięcie kościołów — Wdowa) są warjantami znanych nam obrazów pierwszego cyklu; nowe zupełnie są cztery kartony: Lud na cmentarzu — Plac Zygmunta — Więzienie Księdza — Sybir. Bardzo piękna jest twarz Księdza, a te dwa kartony, na których ani jednej ludzkiej postaci nie widać, dziwnie przejmujące swym nastrojem.

Plac Zygmunta. Świt wstaje po jakiejś okropnej wczorajszej dobie. Kule poszczerbiły ściany, w oknie przez wybite szyby powiewa firanka, jak widmo. Pies wyje żałośnie. Wczoraj były tu trupy, krew — dziś pustka, smutek i groza.

Sybir. Motyw prosty, jak „Ziemia” Ruszczyca, ciężkie, czarne chmury na niebie, na ziemi biała „miecielica” w pustym stepie. Jedyny ślad po człowieku, to krzyżyk z dwóch brzoźowych patyków, zatknięty w śnieg. Śpiewa w sercu wiersz Stanisława Długosza.

Szukam drogi, zasypanej śniegiem,
Ktoś nią przeszedł, śnieg zasypał ślad,
Ktoś nią przeszedł — i w stronach nieznanych
Od wysiłku śmiertelnego padł...

* * *

Czy społeczeństwo nasze ucieszyło się tym odnalezionym skarbem? Czy potrafiło go ocenić?

Obawiam się, że nie. Pragnęłabym, aby to przypuszczenie moje mylnem było.

Radabym dowiedzieć się, że to śliczne album w oka mgnieniu rozkupionem zostało. W każdym razie, jeśli Czytelniczki „Bluszczu” pragną kiedy zrobić podarunek komu miłemu, jeśli mają zamiar przywieźć gościńca z Warszawy, niech zwrócą uwagę na „Warszawę II”, którą uradować się mogą w każdym domu polskim, w domu robotnika i w pałacu magnata. Jeszcze jedno: niech publiczność zaprotestuje przeciw okropnym kolorowym reprodukcjom i kopjom Grottgera, widniejącym za szybami tak wielu wystaw, które są zniewagą dla subtelnego i przdziwnego ołówka wielkiego artysty. K. B.

*) Mieczysław Treter. Wydawnictwo Książnica-Atlas, Lwów — Warszawa. 1926, tekst 35 str. + 2 nlb. 7 kartonów. Cena 16 zł. w ozdobnej teczce.

**) Kornel Ujejski: Smok siarczysty.

FELICJA KRUSZEWSKA.

SPOWIEDŹ

Zła jestem, mój dobry Boże,
Podła jestem, mój święty Boże.
Słusznie karzesz mnie, bo jesteś sprawiedliwy.

Oto pustemi oczami patrzę na Twoje dziwy.
Tak mało myślę o życiu, tak mało myślę o Tobie.
Nie szukam Twojej drogi, nie słucham Twoich głosów.
Żyję w zamkniętych, ciasnych ścianach mojego pokoju.
Żyję w zaduchu i kurzu i dymie z papierosów,
w zamkniętej bolesnej duszy, w trwodze i niepokoju.
I ciągle żyję, nie żyjąc — i ciągle nic nie robię.

Leniwa jestem, mój niestrudzony Boże.
Tchórzliwa jestem, mój niezwalczony Boże.

Oczy mam krótko widzące, słabe, bezwładne ramię.
Kłamię tem samem, że żyję, podle, tchórzliwie kłamię.
Nie umiem zwalczyć siebie, nie umiem zwalczyć bojaźni,
drżę w swej duszy głębie, kryję się w nią z obawy.
Pędzący potok życia przemieniam w napój zatruty,
spycham codzienne godziny, załatwiam drobne sprawy;
kłopotczę się niepotrzebnie o chleb, o książki, o buty.
Nie znam prawdziwej miłości, nie znam prawdziwej przyjaźni.

Ty mi dałeś życie, mój Boże.
Ty mi dałeś Polskę, mój Boże...

Powtarzam Ci co wieczór — już jutro się poprawię:
odrosnę na nowo w pracy, odżyję na nowo w zabawie.
Zlituj się, nie karz mnie Boże.
Nic mi już nie pomaga, Twoja łaska napewno pomoże.
Daj mi na skronie wiatru, daj mi na usta rosy!

.....
A jutro znow papierosy.
Jutro znów chwiejne kolana, bezwładne drżące ręce,
oczy nie chcące widzieć, usta skrzywione w męce.
Znowu chodzenie w kółko — i myśli: to wszystko bez celu.
Godziny, godziny na łóżku, godziny na fotelu.
Godziny spędzone w lenistwie, godziny bezmyślności,
godziny suchego płaczu, godziny bezsilnej złości,
kłopotów, złej twardej pracy, tchórzostwa i martwoty.
godziny chorej, śmiertelnej, najistotniejszej tęsknoty.

Mała jestem, mój wielki Boże.
Nędzna jestem, wspaniały Boże.

Nie zasługuję na śmierć.

G. MALLANESI

MERIAM, CÓRKA KAIDA



Dom Kaida Meshuara, jeden z najpiękniejszych w dzielnicy, ciągnącej się między Kaiseria a Bab-el Khamar i Marrakesh, był czczony niemal jak meczet dla swej starożytności i znakomitego pochodzenia. Obszerny, gładki, niepokalanie biały, o nielicznych i wąskich naksztalt fortecznych otworach, wznosił się przy zapyłonej drodze, wiodącej do Maghrzen, ponurej rezydencji Sułtanów. Po jego bokach wystrzelały ku górze wierzchołki prastarych drzew, robrzmiewających o wschodzie i o zachodzie świergotem tłumnej rzeszy wróbli i owych białych ptasząt — tir el begrar — bez których gnijące odpadki zatrąłyby powietrze w Maroku.

Tę głęboką, klasztorną ciszę o każdej porze panującą w uroczystej budowli, przerywał niekiedy śpiew dziecięcy, co, wynikając z wewnątrz, nabierał siły, przez chwilę dźwięczał jasno i wysoko, by zaraz potem oddalić się i zamrzeć wśród głuchych ech murów.

Wówczas — z ubogich domostw sąsiednich, z pośród Arabów, przykucniętych w tumanach kurzu na skraju drogi, z pośród wędrownych sprzedawców i poganiaczy wielbłądów, kierujących się ku targowisku w Kaiseria, szły głosy pozdrowienia, jak gdyby z siedziby potężnego Kaida spływało na nich wszystkich nieco radości.

— Sakha idek, Meriam... (Niechaj wesołość towarzyszy twemu zdrowu, Meriam).

— Bismi Allah, Meriam, el atekl (Bóg z tobą, Meriam, cnotliwa dziewczyno).

I każdy wspominał, jak kilka miesięcy temu, wolna i bez zasłon, krążyła w pobliżu mała Meriam, bawiąc się przy drodze z dziećmi nawet najuboższymi, bowiem rodzice arabscy ze wszystkich warstw dają swym córkom zupełną swobodę, aż do dnia, kiedy przekroczywszy próg wieku młodzieńczego, znikają one w bezwzględnie odosobnieniu; Meriam czternastoletnia, najpiękniejsza córka Kaida Meshuara.

Zapewne niebawem już przybędzie dromader weselny, obarczony baldachimem z czerwonego szkarłatu o długich frendlach z jedwabiu i złota, aby ukłęknać pod flissą przewodnika u bram bogatego domu i zabrać szlachetną dziewczę, jak bóstwo przystrojoną i osłoniętą, wśród frenetycznych okrzyków liczego orszaku: Ya sahad aliha!, Ya sahad aliha!... (Jakież ją spotyka szczęście).

Gdy fala Europejczyków zalała nie tak to dawno Maroko od wybrzeża, aż do Marrakesh, droga wiodąca ku Maghrzen straciła swój odwieczny wygląd, pełen spokoju i ciszy. Urzędnicy w mundurach khaki krążyli tam i zpowrotem wśród obłoków kurzu, wznieszanego przez automobile i zjawiały się lalle europejskie w swych bezwstydnym strojach, otoczone szczykiem metalu, zbytkiem i wspaniałością. Wtedy za kratami okien Kaida błyszczały rozszerzone z podziwu źrenice, a w zaułkach, pełnych lazurowych cieni, lub też zalanych słońcem, rozlegały się zmieszane i głuche wykrzykniki, wyrażające wielki dreszcz rasy, wstrząśniętej w swych najgłębszych pokładach.

Zdarzyło się, iż Meriam zauważyła, jak regularnie cztery razy dziennie przejeżdżał obok ich do-

mu szary automobil, a w nim — Kaid rumi (chrześcijanin), jego lalla i jakiś młody chłopiec który pewnie był ich synem. Zrazu spoglądała tylko na lallę, wiedzona przyrodzoną ciekawością kobiecą: wkrótce jednak spojrzenie jej szukało jeno młodzieńca. Krótka chwila... a przez tę krótką chwilę przelotnej wizji cztery razy na dzień małe serduszko muzułmanki biło przyspieszonym tętnem, oblewając jej policzki falą purpury.

A gdy pewnego wieczora, matka jej, pierwsza i najulubieńsza z pośród trzech lalli ojcowskiego haremu, zapytała, czemu już jak dawniej nie śpiewa, odpowiedziała pytaniem:

— Mammah, czy mogłaby elmumnine (muzułmanka) wyjść zamaż za rumi?

— Za rumi? Nigdy, nigdy! — wykrzyknęła pełna przerażenia matka. — Ojciec byłby wówczas zmuszony zarzucić jej na twarz chustkę czarną z białem...

Gestem tym ojciec rodziny arabskiej skazuje na śmierć członka swej własnej rodziny.

I Meriam pobałda.

Dumny Kaid Meshuar, kondotjer krwi Marabuta, który dwa lata temu poszedł dobrowolnie bić się w imieniu Allaha przeciwko Hiszpanom i wrócił ranny bagnetem w ramię, musiał teraz, z rozkazu najwyższego, odwiedzić w uroczystym stroju naczelników rumi i przyjąć w swej wielkiej sali ich wizytę. A któregoś dnia lalla rumi, ta co jeździła szarym automobilem, przybyła, by złożyć hold jego lallom, zgodnie z przyjętym już na Wschodzie zwyczajem. Mówiła po arabsku i pozwoliła z uprzejmą cierpliwością pytać siebie o tyle różnych rzeczy. Popieściła i ucałowała Meriam, wypila zielonej herbaty, schrupała słodczyce, a przed odejściem, pośród śmiechów i rozmowy, otrzymała przecie pozwolenie sfotografowania swych gospodarzy małym Kodakiem, który przyniosła z sobą.

— Czy potrafisz też zdjąć swego syna? — wyszeptała Meriam, biorąc ją na stronę pod pretekstem pokazania wspaniałych dywanów z R'bat.

Lalla rumi spojrzała na nią zdumiona, obserwując przez dłuższą chwilę jej rumieńce i drżenie. Zrozumiała. Zaśmiała się. Pod wpływem odruchowej dumy macierzyńskiej odparła.

— Naturalnie, kochanie, już go zdejmowałam. Mam zawsze z sobą fotografię. Oto jest. I otworzywszy swą torebkę wyjęła z niej mały portrecik. Chcesz? Weź sobie.

Ręce dziewczęcia wyciągnęły się ruchem zwierzątka, chwytającego łup. Zesztywniała, zbladła:

— Stafir Allah — (Bogu niech będą dzieki!) — wybełkotała, ukrywając fotografię pod stroikiem z różowego jedwabiu, zahaftowanego złotem. Przysięgnij, że nie powiesz, dobra lalla rumi...

A ta, śmiejąc się: — Neuhleuf! (Przysięgam).

Otrzymawszy też i swoją fotografię, Meriam zamknęła w swym pokoju, co wieczór szukała wróżby w rozbitym w wodzie jaju — jak to ją nauczyła czarna piastunka — by dowiedzieć się, jaki los sądzony jest jej i młodemu rumi. I niekiedy śpiewała, niekiedy znowu trwała w milczeniu. Lecz codzień w określonej godzinie biegła ku zakratowanemu oknu pochwycić spojrzenie tego, który, świadem jej obecności, kierował je ku górze, podczas gdy lalla

rumi uśmiechała się, a szary automobil uciekał w tumanie kurzu wdał.

Tak minęło parę tygodni... Potem w domu Kaida Meshuara zjawiała się i zaczęła bywać coraz częściej laila innego Kaida, a matka osiemnastoletniego Sid-Ahmeda i wkrótce w domu tym, czczonym niemal jak meczet dla swej starożytności i znakomitego pochodzenia, zaczęły się dziwne przygotowania. Z Kaisera przybyły skrzynie, materje i jedwabie, haiki, złotem lamowane, rzadkie pachnidła i klejnoty. Nieprzemijający, świąteczny uśmiech zjawiał się na twarzach czarnych niewolników domowych, poruszono z miejsc starożytne, a cenne puzdra rodzinne, oczyszczano z pyłu uroczyste brokaty.

Pewnego wieczora w haremie, w obecności swych trzech laili, Kaid Meshuar zapowiedział Meriam zwykłym, niedopuszczającym dyskusji tonem, że ślub jej—Ya saad aliha (o, jakież spotyka ją szczęście!)—z Sid Ahmedem odbędzie się za trzy dni. On Kaid, zapewniał ją po ojcowsku, że oblubieniec jest pięknym młodzianem... A że wszyscy myśleli, iż zbytek radości przyprowadził dziewczynę o drzenie, dano jej fengiol gorący i mocno zaprawiony, który ona chciwie wypila.

Zostawszy sama, zeszła do ogrodu okryta haikiem z różowego jedwabiu. Pośród drzew wysokich i szumiących już niesfornym rojem wró-



bli biegła, niby mała wróżka we łzach, przerażona widokiem straszego potwora. Pobiegła aż do oddalonego zakątka, gdzie gęste krzewy i szerokie zasłony z kaktusów ukryły ją przed cymkolwiek bądź wzrokiem. Tam ukłękła na pulchnej ziemi i ostrym kamieniem, co ranił jej ręce, wykopała głęboki otwór, gdzie umieściła fotografię swoją obok podobizny młodego rumi, twarzą w twarz, niby dla wiekuistego pocałunku. Potem zrównała ziemię i, trwając na klęczkach, załkała:

— Nigdy... Z rumi nigdy...

Ku gwiazdom podniosła drgającą kurczowo twarz, podczas gdy palce jej zaciskały się rozpacznie w nieznośnym bólu. I głosem powolnym, rozmieszczając sylaby, przysięgła, że tu istotnie pogrzebała i unicestwiła jedyną swą miłość... Tak nauczyla ją czarna piastunka, opowiadając o pewnej księżniczce arabskiej z dawnych czasów, co, pogrzebawszy pamiątki najdroższe po swym umiłowanym i porzysięgłszy, podobnie jak to Meriam uczyniła przed chwilą, została—wierna muzułmanka—uleczona z szału namietności.

A potem Meriam wstała. Haikiem z różowego jedwabiu otarła oczy. Powracając zaś do domu ojcowskiego, który za dwa dni miała opuścić na zawsze, słyszała za sobą przeciągły świegot wróbli, drwiących z jej małej, zabitej duszyczki. Tłum T. J.

HELENA CEYSINGERÓWNA

MYŚL O TEM CO CHCESZ

(nowela)

4

Stał przy mnie w owym momencie brat Marji... pokazałam mu to nowe zjawisko... Wzdrygnął się przed wyrazem tego wiszącego w powietrzu oblicza, które z coraz większym przerażeniem wpatrywało się we wnętrze dworu.

A we dworze działy się teraz dziwy, wprost niepojęte. Pokój wypełnił tłum cały widziadeł; snuły się wśród nas mary przeróżne... poznawałam postacie znane mi ze skrytek babuni... przyszedł raz jeszcze i ten z portretu... szedł z płonąca pochodnią w ręku i wyszedł z nią i zniknął w ciemnych drzwiach sieni, jakby ją wyniósł ze dworu pomiędzy chaty...

Inni mieli w ręku lampy płonące łagodnym, niebieskim światłem, raz wionęła koło mnie biała suknia jakiejś kobiety...

Boże mój! ja zwarjowałam! — przeszyla mój mózg mój myśl straszliwa i w tej chwili świat cały zawirował dokoła mnie i nie wiem, co się dalej działo...

Pierwszy i jedyny raz w życiu zemdlałam wtedy. To było za silne na moje nerwy.

Ocknęłam się w swoim pokoju, na łóżku. Pokojowa zdejmowała ze mnie suknię. Po chwili zasnęłam mocno i mogłabym myśleć doprawdy, że to wszystko był tylko sen, gdyby nie okoliczności późniejsze.

Nazajutrz, przy śniadaniu, znalazłam się sama ze Zdzisławem. Nikogo więcej — nawet dzieci! Bałam się zacząć rozmowę o wydarzeniach wczorajszego wieczoru, bo doprawdy nie byłam pewna, czy

to wszystko nie było snem, albo chorobliwą halucynacją mego chorego mózgu... Ale on pierwszy zagadnął.

— No i co, panno Klementyno? Wierzy pani teraz w duchy?

— Czy i pan widział?... Czy nie było to tylko moim osobistym obłędem?

— Jeśli był obłęd, to zbiorowy—odpowiedział poważnie.

I zaczęliśmy przypominać poszczególne zjawy, kontrolując nawzajem nasze wrażenia.

Wreszcie Zdzisław zakonkludował.

— A wie pani, że ja jednak w zjawianie się duchów po śmierci nie wierzę!

— Ani ja! — odrzekłam głosem, któremu pragnęłam nadać ton stanowczości.—Ale w takim razie cóż to było?

— Nie wiem. Otwarcie mówię, że nie wiem. To mi wolno. Mój Boże, tylu rzeczy nie wiemy jeszcze. A czy pani pamięta tę twarz za oknem?

To było właściwie jedyne zjawisko przerażające.

— Pamiętam — okropna!

— Zdaje mi się, że widzieliśmy ją tylko my dwoje. Jak pani myśli, czy to był człowiek żywy, czy także jakieś widziadło?

— Robił wrażenie człowieka żywego.

— Tak, ale jakimże sposobem człowiek mógłby dostać głowę do okna. Okna są tu na znacznej wysokości.

— On jest bardzo wysoki—rzekłam.
 — Jakto, więc go pani zna?
 — Nie znam. Raz, idąc z dziećmi, spotkałam wysokiego, starego szlachcica, którego dzieci bardzo się przelekły.
 — Ach, tak?... Czyżby to był ten.. zdrajca?...
 — Kto?
 — Ach, panno Klementyno, nie lubię zapuszczać się w przeszłość mojej siostry. Ja wtedy byłam małą, nie mieszkalam w tych stronach, ale wiem, że historia jej życia jest straszna i taka jakaś wściekle romantyczna! Nie lubię myśleć o tem. Ot wie pani, cudowny dziś dzień, pogoda, przymrozek, szron ubrał drzewa w białe koronki, chodźmy się przejść po słońcu! Strząśniemy z siebie mary, koszmary i cały ten wściekły romantyzm wspomnień!...

Poszliśmy na lesiste pagórki nad brzegiem rzeki i był to jeden z najśłoneczniejszych poranków w moim życiu, ale to już do tej historii nie należy...

Panna Klementyna wpatrzyła się w przygasające na kominku płomyki, goniąc myślą wspomnienia młodości, a potem rzekła swoim zwykłym trzeźwym tonem.

— No idź spać, dziecko! Zagadałyśmy się, jak dwie warjatki. A idź cicho przez korytarz, bo będzie jutro gderania i pretensyj na cały rok.

Dobranoc!

Nazajutrz, już od godziny 6-tej po południu siedziałam w pokoju panny Klementyny, upominając się o dalszy ciąg opowieści.

— Zaciekawili cię ci ludzie, prawda?

— Znam ich już doskonale, droga pani, i pragnę dowiedzieć się czegoś więcej o ich losach.

— Ha, no, chcesz, to słuchaj, tylko wpierw na praw no mi tutaj... ot widzisz... zgubiłam oczko.

Wzięłam z rąk panny Klementyny jej włóczkową robotę, za chwilę zgubione oczko znalazło się na szydełku.

— Już, proszę!

— Doskonale.

— ...No więc... przez parę dni po owym seansie obie panie nie wychodziły ze swoich pokoi. Siadaliśmy do stołu we dwoje z panem Tomaszem i z dziećmi. Było jeszcze ciszej i posępniej, niż zwykle.

Wreszcie na trzeci dzień wróciło wszystko do zwykłego ładu. Panie, pierwszy raz zjawiwszy się u stołu, spokojne były i opanowane. Rozmawiano o rzeczach powszednich. Nikt najsłabszą aluzją nie dotknął wspomnień tajemniczego wieczoru. Milczałam i ja. Nauczyłam się już w tym domu milczeć we właściwych momentach. Po obiedzie prosiła mnie pani starsza o pomoc w przesuszeniu ziół, których pełna była jej domowa apteczka. Wieczorem czytałam z panią Marją nowy zeszyt *Revue des deux mondes*. Podobnie mijały dni następne i byłabym może wkońcu zapomniała o tym zagadkowym epizodzie, gdyby nie niespodziewany ciąg dalszy.

Wyobraź sobie, jakoś we dwa tygodnie później przyjeżdża do Zalesia rotmistrz żandarmerji z powiatowego miasta. Byliśmy właśnie przy podwie-

czorku, gdy przed dom zajechała bryczka i na niej ten pan w mundurze...

Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie widok żandarma wywarł na całej rodzinie Wazgirdów. Strach i nienawiść, pomieszane w różnych stopniach. Strach i nienawiść — te dwa słowa zamykają w sobie wszystko. Przykro mi było widzieć strach na twych szlachetnych, rasowych twarzach! Straszno było widzieć tę dziką wprost nienawiść!

Pan Tomasz przyjął go w kancelarji, do której posłano natychmiast herbatę, likiery i zakąskę, i po półgodzinnej rozmowie wrócił, by nas uspokoić.

— To nic ważnego!—rzekł —ale sprawa dziwna. Chodzi o to, co się działo u nas w dzień zaduszny.

— Któż mógł im donieść?—rzekła starsza pani, tonem najwyższego zaniepokojenia.

— To jest właśnie najdziwniejsze. Oto, co mi powiedział rotmistrz Einhorn: przed tygodniem przyszedł do niego szlachcic z zaścianka, Syruć Melchjor (na dźwięk tego nazwiska pani Marja pobladła jakąś żółtą, woskową bladością i oczy jej w jednej chwili zapadły i pogłębiły się, jak u chorego). Syruć przyszedł ze skargą. Twierdził on, że p. Marja Wazgirdowa czarami swemi wywołuje z niego duszę i zmusza ją do wstąpienia w krąg urządzanych przez nią czarów; że miało to miejsce właśnie w dzień zaduszny, gdy Syruć był przymuszonym świadkiem wywoływania przez nią dusz zmarłych... Rotmistrz oświadczył mi — mówił dalej p. Tomasz — że tego rodzaju skargi załatwiać można dwojako: albo traktuje się oskarżyciela, jako chorego umysłowo i odprawia się go z niczem, albo, jeżeli oskarżony zalicza się do „niebłagonadiożnych”, może oskarżenie takie mieć następstwa, np. administracyjne przeniesienie oskarżonego do oddalonych gubernij cesarstwa, jako powodującego nienokój w kraju. Wielu na mojem miejscu — mówił Einhorn — wyśmiałoby tego starego, ponurego djabła, ale ja sam... jestem z kraju czarowników... i widziałem dużo rzeczy ciekawych. Wybrałem więc drogę pośrednią i przyjechałem po prostu ostrzec państwa i prosić, by dla własnego ich bezpieczeństwa nie wywoływali już umarłych z ich mogił, zaprzestali czarów, a nadewszystko nie niepokoili Syrucia.

Pierwszy raz słyszałam p. Tomasza, mówiącego tak długo. Odpowiedzią jednak było mu milczenie obu pań. Więc po chwili zwrócił się do mnie.

— Mówił mi Zdzisław, że podobno pani dostrzegła pierwszą twarz tego człowieka za szybą i pokazała ją Zdzisławowi.

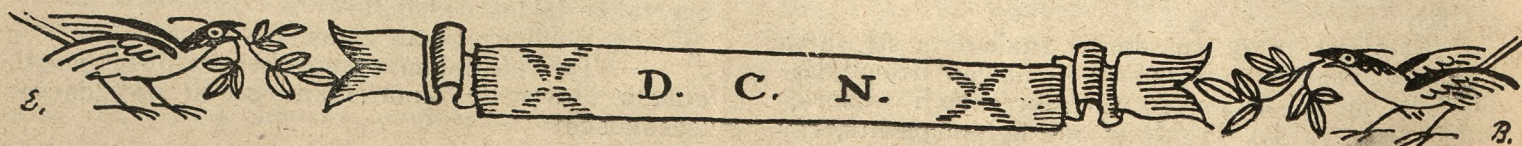
Pani Marja żywo zwróciła się do mnie.

— Pani widziała?...

— Widziałam za oknem twarz starego człowieka, którego niegdyś spotkałam na spacerze i przed którym dzieci uciekły, ale ja nie wiem...

— Tak, to ten sam — rzekł p. Tomasz. — Otóż Einhorn pragnąłby usłyszeć to zeznanie z ust pani. Nie będzie to formalne śledztwo, ani protokół. On raczej, jako człowiek, interesujący się niezwykle zjawiskami przyrody... Chciał widzieć moją żonę... pani Marja drgnęła odruchem oburzenia i strachu — ale powiedziałam, że chora... niechże przynajmniej pani nie odmawia.

— Więc mam iść?—zwróciłam się do obu milczących, tajemniczych kobiet.



MAGDALENA SAMOZWANIEC

MARGRABINA DE BOIS DE BOULOGNE

4

(Grotteska w 3. ch aktach).

AKT II.

Salonik czy jadalny pokój, kredens, patarałki. Wygodnie, haftowanie, ale brzydko. Okno na tyły jakieś kamienicy. Kanarek w klatce Pani Adzikowa gniewa się na Adzika. Adzik stoi bezradnie, oparty o jakąś futrynę. Kanarek śpiewa w niebogłosy.

PANI ADZIKOWA (czerwona). Ja bony nie potrzebuję, mój drogi. ADZIK (hojco). Ależ moje złoto, możesz jeszcze potrzebować. PANI A. (gwałtownie). Przez ciebie? Dziękuję. Jeśli będę kiedy potrzebowała bony, to z pewnością z innym jak ty mężem! (chodzi z oburzenia).

ADZIK (pocziwie, jak to on). Zrozum przecie, że to biedactwo zostało tak strasznie zaskoczone przez życie, taka zmiłana! Pomyśl! Mogłabyś to tylko wówczas zrozumieć, gdybyś sama była kiedyś markizą, a wiesz najlepiej, że tak nie jest.

PANI A. (j. w.). Ohoho mój Adziu, nie zapominaj, że jestem Piotrowska! Nie mnie zaimponują takie blagierki! Jaki dowód na to, co ona mówi? Proszę, powiedz!

ADZIK. Widać jest tak, skoro sama mówi. Przecież ona musi najlepiej wiedzieć. Ty też jesteś dziwna! Zamiast się cieszyć, że mamy znajomości we wszystkich sferach, szerokie stosunki... Zresztą, przynajmniej ci, owszem, że to jest kłopot — ale jej przecie bez dachu nie zostawimy na bruku! Toż to dziecko prawie! Ma najwyżej 29 lat! Powinnaś mieć serce! Dojrzała, starsza kobieta, ja tam nie rachuję, ale ty przecie masz najmniej 30 lat!

PANI A. Naturalnie. Tak, tak, w moim wieku trzeba już ustąpić miejsca starym francuzkom (śmiej się szyderczo).

(Wchodzi Francuzka dystygowana, upięta i uróżowana. Ubrana w byle co, szal, wstążka, co było pod ręką, ale z szykiem).

FR. (uprzejmie). Allons, bonjour, que fait-on?

PANI A. (bamując słuszną cholere). Proszę Pani, kiedy Pani myśli się stąd zabierać? Czy Pani już szuka miejsca? Sama Pani chyba widzi, że jest ciasno, że nie potrzebujemy gości!

ADZIK (cichy). Błagam cię, nie tak niegrzecznie! Powiedz jej choć margrabinol!

PANI A. Napewno. Spodziewaj się tego.

FR. (poprostu). Je ne comprends pas. (idzie do lustra. Między się, poprawia włosy. Zdejmuje szal z kanapy haftowany i przymierza. Robi pozy tancerki hiszpańskiej à la Rita Sabetto).

PANI A. (z pasją). Proszę, to zostawić! Proszę, nie ruszać! (wrywa jej szal, układa na kanapie, siada i bacznie obserwuje Francuzkę milcząc).

FR. (siada na krześle bokiem do niej, kiwa nogą, przegląda pismo. Wchodzi Antoni służący, głowa domu).

ANTONI (zalamując ręce). No i co Jaśnie Pani na to mówi! Co się to nie dzieje! Pytał kto się, Antoniego, radził się kto? Poszedł kto po rozum do głowy Antoniego? Słyszał kto kiedy co podobnego? — Jak to wygląda!

PANI A. (z ulgą). No, mój Antoni. Czy to wygląda na hrabinę?

ADZIK (zrozpaczony). Błagam cię, ona rozumie wszystko!

ANTONI (groźnie). Ja teraz mówię z Jaśnie Panią! — Więc niby czy wygląda na hrabinę? Et, to już raczej Jaśnie Pani, albo moja Maciejowa!

PANI A. (zlekka dotknięta). No, no, mój Antoni, bez konceptów.

ANTONI. I co jeszcze więcej powiem: Takie hrabiny i takie hrancuzki to u Państwa hrabiów Łosiów krowy pasały, i żadna się nie śmiała nawet po hrancusku odezwać! Porządek po

tem trzeba robić, meble mi to przestawia, niby że Antoni ma zamało roboty—Firlidynda!

ADZIK. Nie mogę tego słuchać, ona rozumie wszystko i obrazi się (wychodzi).

ANTONI (niewzruszony). Gdzie, to nawet na guwernantkę nie wygląda.

FR. (znienacka). Eh bien, vous aurez bientôt fini?

ANTONI (dalej swoje). Tylko, z przeproszeniem, ffu, na „kobietę”. Jaśnie Pani rozumie...

PANI A. (żałośnie). Więc coś Antoni radzi? Mój Antoni! Przecież ja się we własnym domu gościem czuję. Ja nie chcę tego!

ANTONI (chyttrze a mądrze). Antoni radzi tak: jak Pan tak, (pokazuje nieokreśloną formę w powietrzu) to Jaśnie Pani tak, (pokazuje). Żeby zobaczył. Nie ustąpić. Sprowadzić tu takiego samego głodnego dziada i trzymać Panu pod nosem, aż mu się to tałałajstwo w domu sprzykrzy. A cóż to? Welno Panu, wolno i Jaśnie Pani. (słychać katarynkę na podwórzu. Antoniemu strzela genialna myśl). O, zaraz tu Antoni kogosik sprowadzi — niech Jaśnie Pani poczeka... (wychodzi śpiesznie).

PANI A. (do Francuzki oschle). No, coś Mademoiselle wogóle myśli robić? Jakie są Pani plany? Chciałabym wiedzieć?

FR. (brutalnie). Jak się Madame po francusku nauczy, to pogadamy (Idzie do lustra, ogląda się).

PANI A. O, proszę Pani, ja po francusku mówię tylko z równymi sobie. Tak.

Wchodzi Antoni z niemową zbrojnym w katarynkę. Niemowa jest białawy kretyn, polatany ztyłu.

ANTONI (z triumfem). Mamy hrabigo. Będzie para.

NIEMOWA. A bt, bt, papapa. (pokazuje na migi, że chce pienieć).

PANI A. Ha, ha, ha! Doskonale! Brawo Antoni!

FR. Ce qu'ils sont tous rasants!

Wchodzi Adzik. Przeciera ręką zmęczone czoło, wyciera chustką okulary.

ADZIK (zdziwiony). Co to jest? O co chodzi?

PANI A. (z szatańską). To jest... to jest lord angielski, który był na... na Tytaniku i ze strachu oniemiał. Ale pomimo, że milczenie jest złotem.

NIEMOWA. A papapa prt.

PANI A. (ciągnie dalej). Cierpi nędzę wyjątkową i musi ciężko zarabiać na życie. Zatrzymuję go w domu, będzie spał razem z markizą. Nie można pozwolić, by tak nadwyreżał zdrowie.

ADZIK (niedowierzająco). Skąd wiesz o tem?

PANI A. Powiedział mi to na migi.

ADZIK. Chciałbym uwierzyć, ale nie mogę.

PANI A. (złośliwie). Zaręczam ci, że to prawda.

ADZIK. Skoro mi zaręczasz, to wierzę. Mój Boże, co się tych arystokratów namnożyło! nieszczęśliwych. (Przygląda się niemowie). On ma nawet całkiem angielską fizjognomję. Taki wygolony. Typowy anglik. Ta twarz mi coprawda wiele nie mówi — ale nic dziwnego, bo to niemowa powiadasz?

PANI A. (z nienawiścią). Więc ty się zgadzasz?

ADZIK. No, cóż mam robić? Jeśli nie można inaczej — mam nadzieję, że to nie potrwa długo. To twoja rzecz — ja już wogóle się nie mieszam... Tylko czy ona się zgodzi na to towarzystwo — bądź co bądź to trochę żebrak...]

PANI A. (wybuch). A wiesz ty co! A dobre sobie! Czy ona się zgodzi! Opamiętaj się człowieku! Jeszcze czas! Ale za chwilę może być zapóźno! (c. d. n.)

RUDYARD KIPLING

PODOBÓJ SIEDZIBY

(AN HABITATION ENFORCED)

2



Na wybujałych pastwiskach niezebrane, zeschnięte pokosy szeleściły pod nogami. Poniżej mokry grunt lśnił, jak od potu. W głębi wąwozu mały potoczek podmył słupy mostka i piecił się między rozbitymi szczątkami. Na stokach przeciwnych stały lasy wysokie, sędziwe, wspaniałe, podobne do kobierców o niespłowiach jeszcze barwach, rozwieszonych na ścianach zrujnowanego domostwa.

— Pomyśleć, że jesteśmy mniej niż sto mil od Londynu — mówił Jerzy. — Ziemia tu wygląda jakby też przeszła nerwową prostrację.

Ścieżka okrążyła wyniosłość i przez gąszcz bujnych rododendronów szła wpoprzek czegoś, co niegdyś musiało być aleją wjazdową, kończącą się w cieniu dwu olbrzymich dębów.

— Dwór! — wyszeptała Zosia, — wiejski dwór!

Poza zieloną bramą drzew wznosił się gmach w stylu króla Jerzego z ciemno-sinawej cegły o muszlowo sklepionych górnych światłach nad drzwiami, ujętymi w kolumnadę.

Zaszeleściło w gałęziach. Przeleciały dwie parki spłoszonych srok, zresztą cisza i martwość panowała wokoło rozłożystego domostwa. Niemniej spoglądało ono wcale zachęcająco, wejrzeniem swych wysokich okien.

— Miło mi poznać... — Zosia wykonała dworski ukłon. — Jerzy, o ile mi się zdaje, tak właśnie wygląda historia. Tutaj był nasz początek. — Znowu ukłon.

Czerwcowy dzień płonął wszystkimi blaskami. Sędziwa budowla miała pozór dostojnej pani, mądrej mądrością trzech pokoleń, która, zasiadłszy w ogrodzie, skłaniała głowę, aby wysłuchać swą spłonioną, żarliwą wnuczkę.

— Muszę zajrzeć do środka! — Zosia wspinała się ku oknu, osłaniając oczy ręką. — Tu w pokoju pełno zwojów bawełny... to jest zapewne wełny. Widzę kawałek framugi. O Jerzy! Chodź, ktoś się zbliża. — Odskokczyła, przezornie chowając się za plecy męża.

Główne wejście otwarło się powoli, ukazując psa z rosem białym od mleka, a za nim staruszka w granatowej, płóciennej bluzie, cudacznie sfałdowanej na ramionach.

— Ojciec Czas we własnej osobie — mówił półgłosem Jerzy. — Tu widać obrał sobie mieszkanie.

— Przyszliśmy, — mówiła nieśmiało pani Zosia, — czy można obejrzyć dom? Obawiam się, że nasz pies...

— Toż to Rambler przecie, — mówił stary. — Znowu mi dobrał się do pomyj. Państwo pewno z Rocketts? Proszę wejść. A ty, włóczęgo jeden!

Pies wyrwał mu się z ręki, więc stary pokukał za nim wdół alei, a oni weszli do przedsionka, do dużej, widnej sieni, takiej, jaka powinna była być w podobnym domu.

Szerokie i rozłożyste, niegdyś białe malowane schody o lekkiej, giętkiej poręczy, pięły się w górę, popod owalne okno.

Z obu stron subtelnie rzeźbione drzwi prowadziły do pokoi, zagraconych zwojami wełny i wsze-

lakiem rupieciami, gdzie kominki i gzymsy koloru morskiej wody były zdobne motywami nimf i kupidynów.

— Co za firma produkuje takie cuda! — wołała oczarowana pani Zosia. — Prawda, zapomniałam! To muszą być pewnie oryginały. Adams, nieprawdaż? Nie śniłam o czymś równie pięknym, jak ta kracina u kominka.

— Ale co ten staruszek może sobie o nas myśleć?

— Ugania się za psem — mówił Jerzy, wyglądając przez okno; — my się widać nie liczymy.

Zwiedzili parter, uszczęśliwieni, jak dzieci, bawiące się w bandytów.

— Cała Anglia się w tem maluje, — zawyrokowała pani Zofia, — cudowna, ale objaśnień żadnych; oczekują od ciebie, że powładołeś się uprzednio o wszystkim. Chodźmy na górę.

Schody nie skrzypnęły pod ich stopami. Z obszernego wejścia dostali się do podłużnej sali z zielonym obiciem, oświetlonej przez trzy okna do ziemi, z których rozciągał się widok na zaniedbany ogród, zapadłe tarasy i przeciwległe lesiste zbocza.

— To salon naturalnie! — Zosia fruwała bez spoczynku z miejsca na miejsce.

— Rozkoszny kominek, Orfeusz i Eurydyka! Jest cudowny, najlepszy ze wszystkiego. To dziwne, w pokoju nic nie stoi, a wygląda, jakumeblowany. Czemu tak, Jerzy?

— Dzięki pięknym proporcjom. Już to przedtem zauważyłem.

— Widziałam kiedyś sofkę w stylu Heppelwhite, — rozmyślała Zosia, przykładając paluszek do rozgorzałego policzka.

— Postawić po jednej kanapce z każdej strony... nic więcej nie trzeba. A owszem! Trzeba lustro. Zwierciadło bez skazy powinno być zawieszone nad kominkiem.

— Spójrz, na ten widok. To oprawiony Constable.

— Raczej Morland, lub naśladownictwo Morlanda.

— Ale, wracając do kanapy, czy nie myślisz, że empire'owa byłaby lepsza? Matowe złoto na tle tej zieleni. Co za szkoda, że teraz nie wyrabiają szpinetów.

— Patrząc na tę wspaniałą dębinę, myślę, że łatwo możnaby go obstałować.

— „Gdy siedziałas poważnie, grając na klawikordzie,” — zanuciła Zosia, skinąwszy przechyloną główką w stronę, gdzie miało wisieć zwierciadło bez skazy.

Potem odnaleźli sypialnię z ubieralniami, z szafami w murze, ze schodami, wiodącymi wdół i w górę. Kompleksy pokoiów okrągłych, ośmiokątnych, czworobocznych z plafonami i rzeźbionymi klamkami.

— A teraz pokoje służbowe. — Zosia skoczyła na najwyższe piętro, gdzie zatrzymał ją mrok. Obluzowane dachówki leżały na strychu razem z połamanymi łatami. Ściany pokryte były napisami: imiona, inicjały, czułe sentencje.

— Tutaj trzymali gołębie.

— A dziury w dachu, że możnaby wozem przejechać, — dodał Jerzy.

— Otóż to, — doszedł głos starego z głębi klatki schodowej, — ani kawałka suchego miejsca dla moich gołębi.

— Któż mógł dopuścić do podobnego stanu? — pytała pani Zofia.

— Ze starymi domami, to już tak. Raz za puścisz, to i nie poradzisz. Chcieli sprzedać, ale kupca nie było. Za daleko powiadają od ludzi, od świata. Potem sami tu żyli, ale powymierali.

— Tutaj? — pytała pani Zosia, zerkając trwożnie w stronę dziurawego dachu.

— Nie, żadne tu nie umarło, w Londynie umierali. — Strzepnął puszek wełny z szafirowej bluzy. — Nie byli mocnego zdrowia, ani państwo Elphick, ani Moone. Słabe to i kruche wszystko. Siedemnaście lat, jak poumierali, a ja tu już dwadzieścia pięć lat za stróża.

— Czy ta wełna na dole do kogo należy? — spytał Jerzy.

— Do majątku. Państwo ciekawi, to pokażę wszystko i z frontu i od podwórza. Państwo z Ameryki? Mój syn był tam kiedyś.

Szli za nim wdół głównych schodów. Stary zatrzymał się na zakręcie.

— Dużo tu miejsca, jakby chciał spuścić trumnę, — mówił, musnąwszy ścianę ręką. — Liczyć siedem stóp długości i po trzech ludzi z każdej strony, głowę dam, że nie zadrasną obicia. Mnie, jak się przyjdzie zamrzeć na moim łóżku, będą musieli wypchnąć sztorcem, jak dzban. Ot jaki komu los pisany.

Prowadził dalej przez istny labirynt. Kuchnie, kredensy, mleczarnie, spiżarnie, sprzęgnięte w całość

krytymi gankami, zlewały się z oficyną, widocznie starszą od głównego budynku, która znów wylaniała się z pomiędzy stajen, obór, chlewów i innych zabudowań. Za nimi rozciągały się obumarłe pola.

— Myślę, — odsapnęła, wyczerpana doszczętnie Zosia, siadając na odwiecznym progu, — myślę, że te wszystkie stare ściany nie obraziłyby się, gdyby je napełnić sianem.

Jerzy patrzył na długie, kamienne mury, podtrzymujące wsparte na nich okapy z siwego dębu, filary z cegły i kamienia, schody zewnętrzne na mury arkadach, na krzywiznę pozieleniałych strzech, na rozległy brukowany dziedziniec, na którym jedyny element życia wnosili dwie krowy i Rambler pełen skruchy.

Przez dwie i pół godziny Jerzy ani pomyślał o sobie, lub urzędzie telegraficznym.

— Dlaczego — pytała Zosia, gdy wracali przez kotlinę opuszczonych pól — dlaczego w Anglii spodziewają się, że wiesz zgóry o wszystkim i nikt nic nie objaśnia?

— Myślisz o rodzinach Elphick Moon?

— Tak, i o samym majątku, i o stronie prawnej, i z kim ma się do czynienia. Ciekawam, czy posadzka w zielonym pokoju jest z prawdziwego dębu. Lubilibyś robić wspólnie takie pompejańskie odkrycia?

Jerzy odwrócił się raz jeszcze, aby spojrzeć na widok za sobą.

— Mówił mi stary, że do tego dworu należy 800 akrów ziemi i pięć folwarków; Rocketts to jeden z nich.

— Bardzo lubię Cloke'ów. A jak się ten dwór nazywa?

Jerzy roześmiał się. — To też jedna z wiadomości, którą należy posiadać. Stary nie mówił nazwy.

(c. d. n)



Z. ZAWISZANKA

CÓRKA BOGA



Skutki tego rozdarcia zaciężyły na długo nad całym Kościołem i stały się podłożem dla przyszłej „reformacji” Lutra... Kler odwrócił się od swych obowiązków, goniąc przeważnie za zyskiem; stąd nagromadzenie w jednych rękach kilku i kilkunastu czasem godności duchownych, niemożliwych do

pogodzenia. Stąd parafje nie widujące nigdy swoich proboszczów, diecezje, których biskupi przebywają stale u dworów, lub na poselstwach dyplomatycznych. Urzędy te, tak jak i posługi duchowne, stają się częstokroć przedmiotem handlu — zepsucie obyczajowe księży, coraz jawniejsze, daje powód do publicznych już roztrząsań nad zasadą celibatu.

Uczony teolog Sorbonny, Clemengis, wydaje dzieło „O zepsuciu Kościoła”, — bo wszak niema już co tać, rzecz jest powszechnie wiadoma... Wszyscy marzą o jakiejś reformie, a nikt nie wie, jak się zabrać do niej. Nawet synody — w Konstancji, w Pizie, w Bazylei — poważne, długotrwałe zgromadzenia najjętższych głów wśród kleru — są dziwnie bezpłod-

ne i powiększają jeszcze zamęt przez czcze spory. Mimo to w masach nie gaśnie uczucie religijne przeciwnie nieszczęście dodaje mu potęgi i egzaltacji. W czasach wojny stuletniej relikwie, których obfitością Francja szczyciła się zawsze, doznają czci, może jeszcze większej, niż przedtem, a miejsca cudowne pomieścić nie mogą natłoku pielgrzymów. Na sławnym odpuscie w Puy giną corocznie, uduszone w ścisiku, dziesiątki ludzi, w namietnym, zbiorowym porwiewie, by się dostać jaknajbliżej cudownego obrazu Matki Boskiej. Udręczona dusza ludu kołace rozpaczliwie do bram nieba, ale już pozbawiona kierunku, zawiedziona w zaufaniu do swych przewodników.

Światłe, pracowite życie olbrzymich klasztorów Średniowiecza zamiera; jedyny świeższy powiew wnoszą zakony żebracze: szerzona przez nie (choć częstokroć spaczona już) ideologia św. Franciszka podkopuje feudalną arystokrację, świecką i duchowną, przygotowuje wzrost „trzeciego stanu”. Politycznie ci „bracia mniejsi” naogół współczują partji orleańsko-armanjackiej, rozżarzając pocichu w kraju

ducha oporu przeciw najazdowi. Lecz ciągle ich tułaczka sprzyja też demoralizacji: niejeden mnich przystaje do band rozbójniczych, podobnie zresztą, jak klerycy, studenci, rzemieślnicy i rolnicy, doprowadzeni do rozpacz ruina swych warsztatów.

Kwitające gospodarstwa opactw, klasztorów, wielkie domena biskupówi mniejsze dobra parafjalne — cierpią i upadają narówni z całym krajem. Wielu księży, wygnanych wojną, lub napadami band, tuła się bez dachu i chleba. Wspaniałe dzieła miłosierdzia, mniejsze i większe szpitale, okradzione przez wojska, rabusiów i co gorsza przez własnych opiekunów, nigdy już nie podniosły się z żalosnej ruiny.

W wojnie ówczesnej, w porównaniu do dzisiejszej, brała udział bezpośredni znikomo mała ilość ludzi; lecz mieszkańcy niemniej odczuwali jej ciężary, zwłaszcza w razie dłuższego trwania.

Rzadko się zdarzało, by obie strony walczące regularnie płaciły żołd i umiały zapewnić swym wojskom wyżywienie. Oczywiście więc żyły one przeważnie z kraju — ztąd wyradzały się nadużycia, rabunki, straszliwe nieraz krzywdy i okrucieństwa. Żołnierze zmieniali się czasem na stałe w bandytów, stając się plagą kraju.

Nic dziwnego, że w takich warunkach bano się, jak ognia, wszelkich garnizonów, że organizacje komunalne broniły się od nich, jak mogły, starając się natomiast o lokalną samoobronę. To ożywia samorząd miast: niemal wszystkie zdobywają się na własne fortyfikacje, broń, organizują stałe czaty i milicje, coraz doskonalszą. Oczywiście muszą opodatkowywać się na to specjalnie — wzamian zaś otrzymują cenny przywilej: nie wolno im narzucać wojskowej żądłogi.

Tylko w niewielkim promieniu naokoło tych baszt, fos i wałów miejskich, rozciągają się pola, jak tak naprawdę. Na pierwszy, dany z wień, sygnał alarmowy o zbliżaniu się wroga, pracujący na roli wieśniacy chronią się z dobytkiem wewnątrz murów, zanim podniosą się mosty zwodzone. Wszystko inne wydane jest na łup ognia, żelaza i dzikiej żołdackiej swawoli.

Na miejscu dawnych bogatych łąnów rozpościerają się pustkowia, wzrastają bory — stada bydła dziczeją — wilki porywają dzieci z ulic stolicy. „Mór“ i „czarna zaraza“ pożerają bez ratunku tysiące ludzi... wiele ich zresztą wymiera prosto z głodu.

Władza lennych panów nie wygasła jeszcze całkowicie; zaginęło u nich natomiast prawie zupełnie średniowieczne poczucie obowiązków wobec poddanych. Dobrzy zresztą byli bezsilni w tych warunkach, żli zaś znęcali się tem gorzej, wyciskając ostatni grosz, by sobie odbić własne szkody. To przyczyniało się bardzo do strasznej doli ludu w ówrej wojnie, tembardziej, że i władza królewska przestała mu być oparciem.

Z czego wówczas brano różne daniny, wobec nędzy tak ogólnej, trudno dociec — dość, że ucisk podatkowy szalał prosto. Niewiadomo też, z kogo i z czego żyli żebracy — faktem jest jednak, że było ich wtedy niesłychane mnóstwo. Wszystkie stany i zawody zasilają tę niebezpieczną klasę społeczną, która wyrobiła sobie własny żargon, tajemne jakieś prawa — opowiadano nawet, że miała swego króla... Bardzo charakterystyczne, że najwybitniejszy poeta owego czasu, Franciszek Villon, (naprawdę talent szczerzy, był włóczęgą — rozbójnikiem!

Nic dziwnego, że w tych warunkach węzły rodzinne rozluźniały się, obyczajność ogólna upadała, a kultura umysłowa ledwie tli, podtrzymując tylko z trudem na niektórych punktach zdobycze wieków

poprzednich. „Życie rycerskie — mówi Petit-Dutaillis, przedstawia stały kontrast między etykietą, drobiazgową już, a brutalnością obyczajów — między pedantycznym prawodawstwem „punktu honoru“, a niemoralnością najjawniejszą — między zbytkiem, a brudem.“ Dla żołnierzy wojna stała się z chlubnego obowiązku zyskownym zawodem. Rabunek był bowiem wtedy najdogodniejszym sposobem utrzymania się. W ogólny też zwyczaj weszło branie wysokich okupów za jeńców — niejeden śmiałek wzbogacił się na tem. Im kto twardszą miał pięść i sumienie, tem więcej łowił ryb w mętnej wodzie; tacy ludzie nie pragnęli bynajmniej końca wojny, uciśnieni zaś (a była ich większość) nie śmieli go się już spodziewać. Nikt naprawdę nie pamiętał już, ani wyobrażał sobie nawet, jak wyglądają normalne stosunki.

A tymczasem z za morza zbliżała się już zagłada — bo w Anglii ucichły wreszcie niesnaski wewnętrzne, pod silną ręką nowego władcy. Henryk V, głęboki polityk, człowiek zimnego serca, lecz wielkiej woli, wytrwałości i rozumu — zamierzywszy dokończyć podboju Francji, ląduje w Normandji w r. 1415, z 30,000 wojska.

Przychodzi do walnej bitwy, pod Azincourt, która staje się znowu, mimo trzykrotnej przewagi liczebnej, strasliwym pogromem Francuzów. Większa część wymordowana, parę tysięcy poszło w niewolę, w tem ks. Bourbon i młody książę Orleanu poeta, trzymany potem 25 lat w więzieniu, aby nie pokusił się o koronę Francji.

Następne 4 lata wypełniają dalsze mordercze walki Armanjaków i Burgundów o Paryż i wpływy u dworu. Anglicy, będąc tym trzecim, co korzysta, nie śpieszą się zbyt w swej akcji wojennej; zdobywają tylko, wśród niesłychanych okrucieństw, miasto Rouen, broniące się do upadłego. (c. d. n.)

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. P. MARJA PASZKOWSKA

Likwiduje się stopniowo bolesna epoka niewoli. Usuwają się w cień śmierci te postacie, które pracą swoją i poświęceniem rozświetlały mroki, w jakich pogrążone było społeczeństwo, łagodziły jego cierpienia. Jedną z takich istot, szlachetnej idei oddanych, o sercu gorącym, spalającym się bezustannie w ogniu poświęcenia dla cierpiących i pokrzywdzonych była świeżo zmarła Maria Paszkowska. Zadaniem jej życia było ulżenie niedoli więźniów politycznych, przepełniających kaźnie rosyjskie.

A jakże łatwo było w ostatnim pięćdziesięcioleciu dostać się do więzienia. Zamykano tam młodzież, buntującą się przeciw bezdusznej metodzie nauczania, przeciw użyciu szkoły za narzędzie rusyfikacyjne, zamykano nauczycielki, które z przedziwną ofiarnością odkradały sobie godziny wypoczynkowe i śpieszyły w oddalone dzielnice stolicy, aby nieść udręczonej warstwie ludności, ciężko pracującej, światłko wiedzy i oświaty. Zamykano robotników, chcących wywalczyć sobie ludzkie warunki istnienia, zamykano wreszcie tych, co w tajnej konspiracji usiłowali znaleźć sposób uwolnienia swojej ojczyzny z pod jarzma niewoli.

Jedną z najodważniejszych, najbardziej mężnych bojowniczek była Maria Paszkowska.

Jakie smutne jest położenie narodu, którego najlepsze jednostki muszą swoje siły oddawać pracy podziemnej, konspiracyjnej; Paszkowska, ze swoją szlachetną duszą, była wprost męczennicą konspira-

cji. Nietylko sama przenosiła i przewoziła tajemne pisma, podtrzymujące w oporze przeciwko metodom eksterminacyjnym najazdów, ale wykształciła całe zastępy t. zw. „dromaderek“, które jej w tej pracy pomagały.

Najważniejszą jednak zasługą Paszkowskiej była jej działalność samarytańska i opieka nad więźniami politycznymi, jaką rozciągała. Przez 60 lat, od czasów powstania styczniowego, wrogowie wytaczali nam z żył najbardziej cenną krew, wydzielali społeczeństwu najwyższe, najofiarniejsze jednostki.

Od czasu, gdy Traugutt zginął na stokach Cytadeli, ten gmach ponury pochłoniął w swoich ziemnych i wilgotnych murach tysiące ofiar.

Trzeba było znaleźć drogę do ulżenia ich strasznej doli, do zapewnienia im komunikacji z rodzinami, dostarczenia żywności, książek, ułatwiania możliwości pisanja listów i t. p.

Jakież niesłychanej zręczności, a także wrażliwej intuicji kobiecej trzeba było, żeby móc zmylić, lub zjednać straż i nieść pomoc i pociechę. Paszkowska czyniła to przez długich lat piętnaście. Wszędzie była pomocna, wszędzie obecna i ilu uratowała od śmierci, od ciężkiego więzienia, ilu ułatwiła, umożliwiła ucieczkę! Setki takich ocalonych żyje wśród nas. Lata rewolucji rosyjskiej 1905-6 roku, które odbiły się echem w Polsce, pochłaniając liczne ofiary, były polem najwyższej działalności Paszkowskiej. Ruch był robotniczy, więc siedł z pomiędzy najuboższej, ciężko pracującej warstwy ludności.

Ta znikąd nie mogła spodziewać się pomocy. Ale u jej boku stanęła szlachetna orędowniczka. Ułatwiała ucieczkę najbardziej zagrożonym, uwięzionym i skazanym osładzała ciężką dola. A wszystko to czyniła dla przyszłej Polski niepodległej, w którą wierzyła, dla której pracowała, ona skromna nauczycielka, żyjąca z trudu dnia codziennego. Gdzie znajdowała fundusze na swoją akcję? Zbierała grosze od tych wszystkich, którzy ją odczuli i rozumieli.

Przez jakiś czas, jako mocno władzom rosyjskim podejrzana, musiała zamieszkać w Krakowie. Był to szlak, którym dążyli mieszkańcy wszystkich rozdzielonych dzielnic Polski, by odetchnąć wśród dawnych historycznych pamiątek, ducha nadzieją Wyzwolenia pokrzepić. Na tych to przejezdnych rachowała Paszkowska, że na cele, dla których żyła, nie poskapia. Pamiętam, ongi, przed wojną zbieraliśmy się u Michalika, by na tle, bujnym talentem naszych artystów-malarzy ozdobionem, pogwarzyć o naszych losach. Wchodzi Paszkowska, skromna starsza kobieta, niemal że ubogo odziana. Gdy zbliża się do stolików ze swoją puską, wszyscy z szacunkiem powstają przed jałmużniczką i sypią się skromne ofiary, a ona dziękuje ze swoim smutnym, dobrym uśmiechem.

I wyprawiono tej skromnej, cichej kobiecie po grzeb uroczysty. Tłumy szły za trumną, grały orkiestry, powiewały sztandary. Dano jej było ujrzyć Polskę zmartwychwstałą i ona to uczciła ją w ten sposób po śmierci. Nie doczekała jednak skonsolidowania się narodu w jednym wspólnym dążeniu do dobra i sprawiedliwości.

Wśród mnóstwa wieńców wyróżniał się okazałością wieniec, złożony przez małżonkę Prezydenta Rzeczypospolitej, panią Marię Wojciechowską z napisem „Kochanej nauczycielce.“ Potem zwracał uwagę wieniec od Ministerstwa pracy i opieki społecznej, wieniec od kobiet z Wydziału P. P. S. z napisem na szarfach: „Najszlachetniejszej i najofiarniejszej w walce z przemocą i uciskiem.“ Były także wieniec z Górnego Śląska. Około trumny kro-

czyły dzieci z ognisk robotniczych, z Wydziału wychowania dziecka, oraz Milicja kobieca. Wśród wielu mów były i przemówienia towarzyszek pracy Zmarłej p.p. Chmieleńskiej, Markowskiej i Grodzickiej.

Cenniejsze jednak od tych oznak hołdu i pamięci były łzy, które potoczyły się z niejednych oczu. We łzach tych była zapowiedź, że praca Marii Paszkowskiej nie była bezpłodną.

J. W. K.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

HALUCYNACJA CZY JASNOWIDZENIE.

Dzienniki włoskie podają opis wypadku, który sensacyjnością swą przewyższa fantastyczne opowieści. Fakt ten zdarzył się przed kilku tygodniami w mieście Turynie.

Pewna młoda panienka została zaproszona na ślub swojej przyjaciółki. Przybywszy do domu pan-ny młodej, panienka ta została bardzo niemile uderzoną powierzchownością oblubieńca, który pochodził z innych stron kraju i nikomu z rodziny swej przyszłej żony nie był bliżej znany. Był to człowiek wysoki, barczysty, o czarnym, gęstym zarostcie i nie-milem, ponurem spojrzeniu. Po powrocie z wesela do domu młoda panienka udała się na spoczynek. Po jakimś czasie matka jej, śpiąca w przyległym pokoju, usłyszała przeraźliwy krzyk córki i, nadbiegłszy, ujrzała ją z twarzą bladą z przerażenia, drżącą i wtuloną w kąt pokoju. Zapytana o powód strachu, dziewczyna wśród łkań opowiedziała, że widziała, jak mąż jej przyjaciółki zamordował swą żonę i pokrajał jej ciało w kawałki. Wszelkie próby uspokojenia przerażonej dziewczynki na nic się nie zdały — wpadła ona w stan tak silnego rozdrażnienia, że rodzice byli zmuszeni wezwać lekarza, który stwierdził, że nieszczęśliwa dziewczyna dostała obłędu. Najdziwniejszym jednak jest to, że owa młoda para tejże samej nocy znikła bez wieści i pomimo poszukiwań na ślad jej dotąd nie natrafiono.

NOWA SENATORKA CZESKA.

W Czechosłowacji odbyły się niedawno wybory dopełniające do senatu, podczas których obraną została nowa senatorka, pani Plaminkowa. Jest to znana działaczka na polu pracy społecznej i ruchu kobiecego, piastuje ona pozatem godność przewodniczącej Czeskosłowackiego Związku Stowarzyszeń Kobiecych i wiceprzewodniczącej Międzynarodowego Związku Kobiet.

RUCH KOBIECY W TURCJI.

Pismo kobiece bułgarskie „Wiernik na Żenata“ zamieszcza w swym ostatnim numerze wiadomości o ruchu kobiecym w Turcji. Ruch ten, chociaż rozpoczęty stosunkowo bardzo niedawno, rozwija się obecnie bardzo szybko i pomyślnie. Kobieta turecka dojrzała już do zrozumienia swych obowiązków społecznych i obywatelskich, widzimy też ją na wielu stanowiskach odpowiedzialnych. Daje się również zauważyć wśród kobiet dążność do pracy zawodowej. W ostatnich latach powstało w Turcji wiele szkół i kursów zawodowych, mających na celu przygotowanie szerszego zastępu fachowych pracowników na różnych polach pracy. Kobiety tureckie chętnie garną się do tych szkół i wykazują duże zdolności naukowe, oraz łatwość szybkiego i dokładnego przyswajania sobie wiedzy. To też niektóre działy pracy zawodowej są już w znacznej części opanc-

wane przez kobiety. Jako przykład posłużyć może instytucja telefonów miejskich w Konstantynopolu, obsługiwana wyłącznie personelem kobiecym. Telefonistki tureckie nie ustępują przytem koleżankom swoim z innych krajów europejskich pod względem solidarności i stanowczości w domaganiu się należnych im praw. Ogłosiły one również niedawno strajk powszechny, domagając się od zarządu instytucji (znajdującej się w rękach pewnego angielskiego konsorcjum handlowego) — podwyżki płac o 50% i polepszenia warunków pracy.

Z. B.

Z KSIĄŻEK

DLA MAŁYCH DZIECI — DO CZYTANIA.

Jan Grabowski. „Finek”. Wyd. Arcta w Warszawie. Z 35 obrazkami, 125 str.

Mały, pękaty, niezdarny szczeniak, Finek, psoci, niszczy i gryzie wszystko, co popadnie, a więc: pantofle, pończochy, piękny kapelusz z kwiatami, frendzle od dywana, nogi od mebli i t. d. Wynikają z tego duże kłopoty i dla samego Finka, i dla jego pani i opiekunki, małej Dzidzi. Finek ciągle dostaje w skórę — i nie wie, za co? Dzidzi grozi rozstanie z ukochanym Finem, z którym tak ciężko jest wytrzymać w mieście. Kończy się kompromisowo i pogodnie: Finek, który wyrósł na statecznego, dzielnego, a nawet bohaterskiego psa, zostaje na wsi u cioci Musi, a Dzidzia będzie go odwiedzała na każde święta i wakacje.

Autor rozpatruje Finka i jego przygody od strony tuzi, a postępowanie ludzi od strony Finka. To właśnie jest ciekawe — i dobrze napisane. Dzieci nie tylko przyglądają się temu „co ten Finek wyprawia”, ale muszą zastanowić się nad tem, co on myśli i czuje, tak „wyprawiając”; pogłębia się przez to stosunek dzieci do zwierząt, zrozumienie ich istoty psychicznej. Książka jest zajmująca, dobra, i miła.

Jan Grabowski: Jagusia Machajówna. Wyd. Arcta w Warszawie z rysunkami A. Gramatka — Ostrowskiej, str. 123.

Jan Grabowski. Jak Tomek Kowalczyk do nieba się dostał. Wyd. Gebethnera i Wolffa w Warszawie. Z 20 rysunkami Szyndlera. Str. 78.

Jan Grabowski. Jaśko z Mirachowa. Wyd. „Nasza Księgarnia” w Warszawie, Łódź. Z 20 rys. str. 78.

Jan Grabowski. Wicek Świerszczyk i Karaluch Smalec. Wyd. Gebethner i Wolff z 15 rys. Szyndlera. Str. 59.

Wszystkie te książeczki zawierają w sobie różnych kombinacjach i ugrupowaniach elementy najbardziej znanych bajek ludowych. Karczmarki — czarownice, jeżdżące na miotłach, nieśmowite kocury, sprzedające duszę diabłu cyrografy, pisane krwią z serdecznego palca, królewna zaklęta w żabę, kura, niosąca złote jajka, chleb, którego nie ubywa, śmierć-kostucha uwieczniona na drzewie, diabeł-Boruta zamknięty w antatku, — niczego tu nie braknie!

Dzieci lubią bajki i radeby ich słuchać godzinami. Wiem o tem. „Bo umysł dziecka łąknie” właśnie takich rzeczy. Dzieciom bajki są potrzebne. — Mówią mi.

Zgoda. Ale sądzę, że „takie rzeczy” mogą być różne, co do poziomu; mogą zawierać wdzięk jakiś, polot. A tu, niestety, zdarzają się pomysły dość niewybredne, jak np. o tej karczmarce, co obcinała sobie palec i przemieniała go w kielbasę (Jagusia Machajówna), albo o głupim Jasiu (Tomek Kowalczyk), co to zobaczwszy pogrzeb i trumnę z nieboszczykiem mówi: „niech go diabli wezmą”, a spotkawszy wesele: „wieczne odpoczywanie”.

A szkoda, bo wszystkie te książeczki pisane są tak barwnie, zajmująco i żywo, że mogą być bardzo pożyteczne, gdy chodzi o zachęcenie dzieci do czytania.

Ładne są opisy przyrody, a stosunek do zwierząt bardzo miły i dobry.

Bianca Maria. Legendy o kwiatach. Przekład z włoskiego Z. Rabskiej. Wyd. Arcta w Warszawie. Z obrazkami. 150 str.

Gdzie postrzępiła się na ostrych skałach różowa jedwabna sukienka uciekającej dziewczynki, tam wyrósł różowy gwoździk o postrzępionych płatkach.

Spadające z nieba gwiazdy wyrosły, jako astrы, na pustych grzędach.

Na roztopionym przez lzy córeczki śniegu wykwitły śniegułki — lekarstwo dla chorej mamy.

A chorą siostrzyczkę, która nie mogła nic jeść, braciszek poił mlekiem z kieliszków petunii.

Podobnie o innych kwiatach, wrzosie, lilji, chryzantemie i t. d.

Miłe to i wdzięczne. Nie dla wszystkich może dzieci wdzięk ten jest dostępny — ale są takie, którym ta książka sprawi dużo przyjemności. Pobudza wyobraźnię i fantazję w sposób ładny — i na dobrym poziomie.

H. B.

Z TEATRÓW

TEATR MAŁY.

„Orzeł czy reszka?” komedia w 5 aktach Verneuil'a.

Że Paryż jest stolicą świata, nie przesadza to bynajmniej, żeby wszystko, co grano w Paryżu i co się podobało tamtejszej publiczności pokazywać nam, polakom. I to bynajmniej nie dlatego, że jesteśmy mniej kulturalni, lub mniej wyrobieni. Powód, dla którego należałoby ostrożniej wybierać sztuki francuskie jest inny: oto niektóre z tych sztuk mają charakter wybitnie lokalny. Przeszczepione na obcy grunt, bez ponownego zlokalizowania, tracą wiele na wartości.

Łos ten spotkał grana obecnie w Teatrze Małym sztukę Verneuil'a „Orzeł czy reszka?”. Jest to jedna ze słabszych komedji Verneuil'a. Postacie nieciekawe, sytuacje banalne okupiłyby mogła zręczna struktura i dowcipny dialog. Niestety! jedno i drugie zawiodło tym razem Verneuil'a, którego maistrję mieliśmy sposobność poznać w „Kochanku od serca” i „Musisz być moja”.

„Orzeł czy Reszka?”, to opowieść o dwojgu młodych, którym do szczęścia brak tylko pieniędzy, ona jest rumunką, studiującą w Sorbonie, on kompozytorem kabaretowym, wydziedziczonym przez ojca. (To, że bohaterka jest rumunką — dało autorowi sposobność do pewnych efektów komicznych, niezerozumiałych i bladych dla nas). Brak ten jest przykry i dotkliwy i młodzi postanawiają go zwalczyć drogą „największej ofiary”. (?) On poślubi bogatą pannę (nazajutrz się z nią rozwiedzie), za co ma od ojca otrzymać potrzebny czek, ona ofiaruje jedną noc bogatemu wielbicielowi... Prawda, jakie to proste! W decydującym momencie miłość zwycięża: Mańka i Jan nie mogą przemóc w sobie wstrętu, jakim napawa ich myśl o konieczności wykonania tego planu. Oczywiście, „Bogaty wiebiecie!” okazuje się ojcem Jana. Piękna rumunka nie zostanie jego kochanką, bo udaje się zmieknąć serce srogiego ojca — „Numa wyjdzie za Pompiljusza”... Ilesmy to już razy widzieli — z małymi warjantami! Tu najważniejszym była „rumuńskość” bohaterki: grała ją p. Jarkowska, umyślnie w tym celu sprowadzona z Łodzi. Młoda ta i utalentowana aktorka nie mogła podołać trudnej roli, trudnej tem, że tak mało było z niej do zrobienia. Za to pan Junosza Stępowski dał doskonałą postać starego uwodziciela, P. Daczyński, w roli jego syna, był o wiele mniej interesujący. Z innych wyróżnili się pp. Neubelt i Bogusiński.

TEATR LETNI.

„Cherubin z piekła” sztuka w 3 aktach J. Germana.

Weszło od pewnego czasu w zwyczaj w Polsce, że każdy powołany, czy niepowołany pisze dla teatru. Pierwsi — niechby czynili to jaknajczęściej, nie zrażając się tem, że dzieła ich niezawsze są zrozumiane i ocenione przez publiczność, jak to miało miejsce z „Lampką oliwną” Zegadłowicza, „Żeglarzem” Szaniawskiego. Jest ich jednak niestety niewiele u nas. Natomiast imię drugich — legion. Kierownikowi literaccy teatrów zarzuceni są formalnie utworami rzęs, łąkających pieniędzy i sławy, niezrażonych tem, że jedno, jak drugie trudno osiągnąć, gdy się nie ma nic do powiedzenia i nie jest się znawcą sceny. Oba te warunki (o talencie nie mówię nawet) są nieodzowne, by utwór nie stał się Wielkiem Nieporozumieniem, jak ów „Cherubin z piekła” Germana.

Mimo najszerszych chęci i najżyyczliwszego stosunku do owej sztuki, trudno zrozumieć o co autorowi chodziło, co jest istotą „Cherubina”, dlaczego tak dobry znawca sceny, jak German, popełnił podobną niezręczność — że nie użyję dobitniejszych określeń, których nie oszczędzili Mu poważni krytycy.

Sztuka Germana jest mieszaniną symbolizmu, dramatu realistycznego, mistyki, banalności — czy ja wiem czego zresztą? Sumienna reżyserja Solskiego uwypukliła wszystkie te składniki, przez co całość wypadła wprost nieoczekiwanie. Gdybyśmy nie znali Germana, moglibyśmy go posądzić o futurizm. Trzeci akt „Cherubina” w reżyserji Solskiego godny był Witkiewicza, którego „Wścieklica” zostawił niezatarte wspomnienie w umyśle znawców teatru. Nie pomogła Germanowi sława „Iwonki”: sztuka jego padła.

Sztuka obsadzona była pierwszorzędnie i grana doskonale. Czy nie szkoda jednak pracy aktorów i reżysera! Talent panny Gorczyńskiej zasługuje na lepsze wykorzystanie go — szkoda że ta wybitnie urodzona aktorka marnuje się w podobny sposób. Pan Różycki jako „tajemniczy pan” dał postać bladą — ale nie ma w tem jego winy, sądzę, że podobnie, jak my, nie był w stanie pojąć intencji autora.

Z. P.



MODY
I ROBOTY





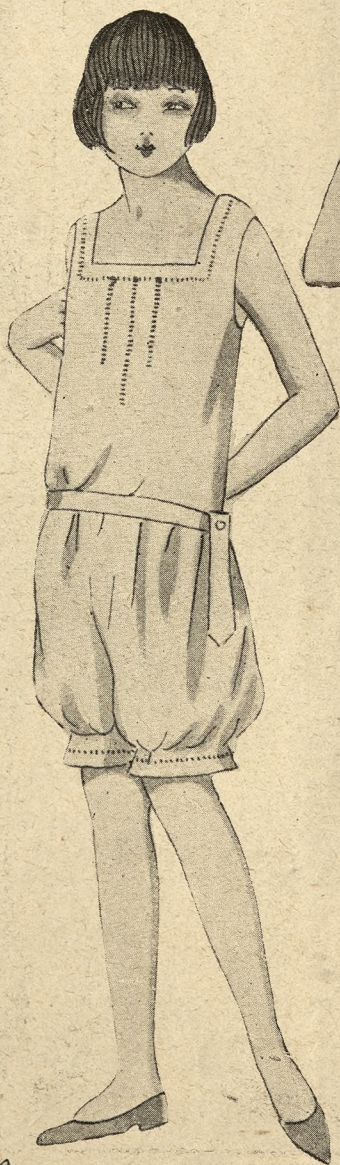
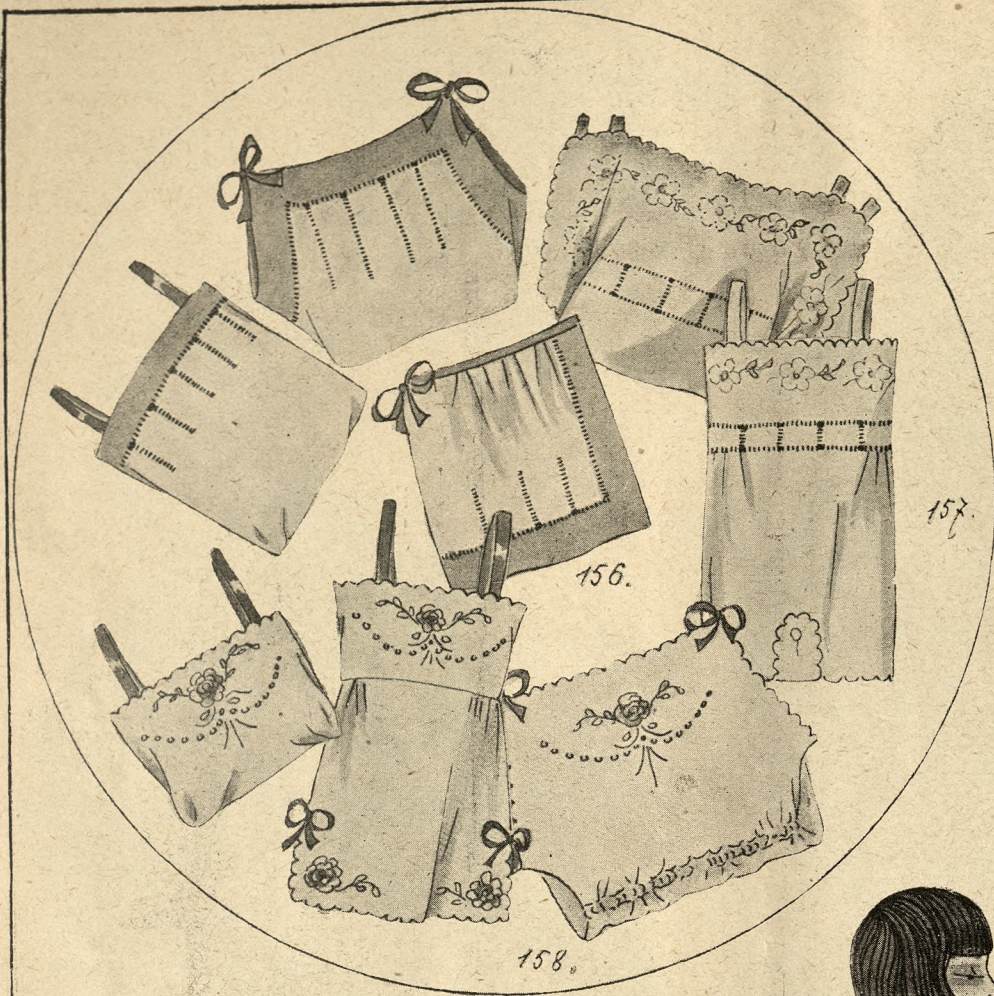
151.

152.

153.

154.

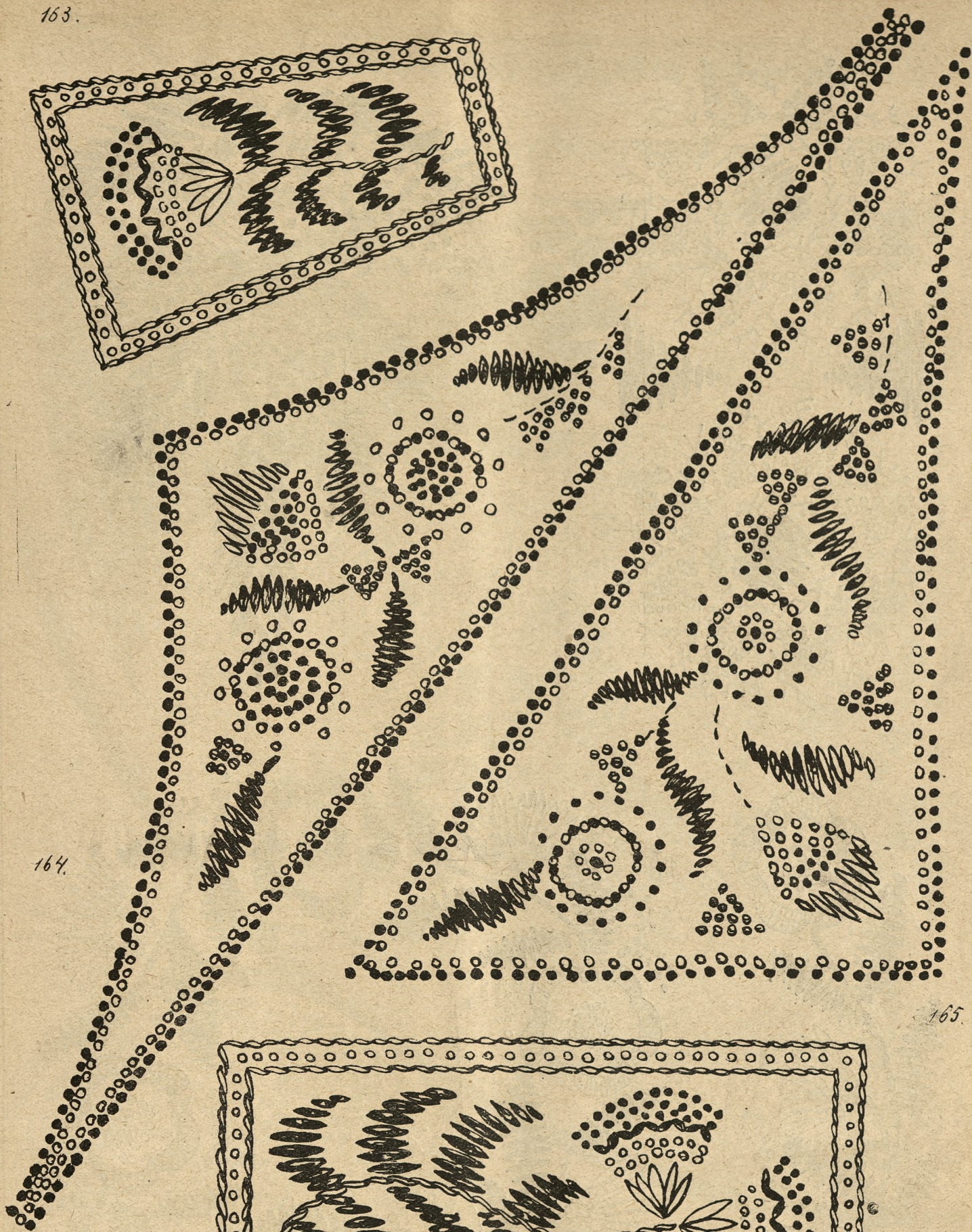
155.



163.



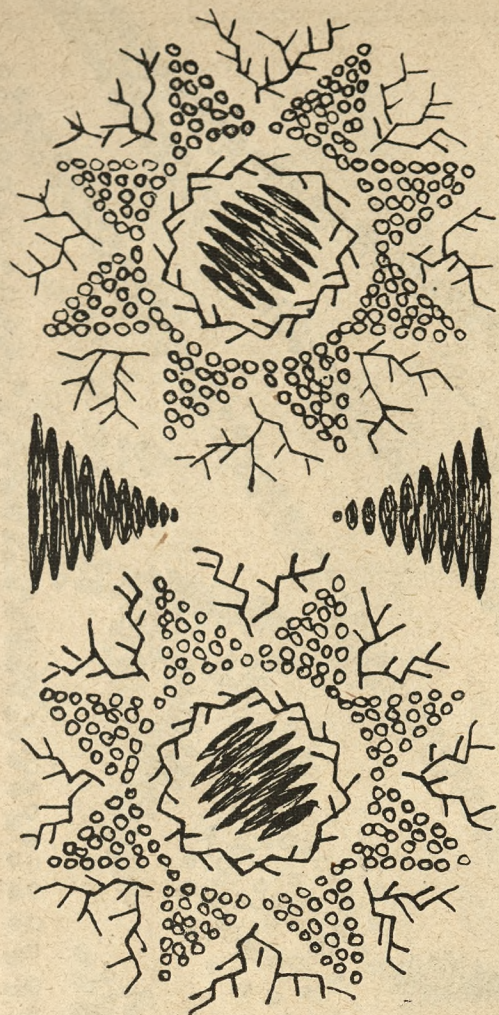
164.



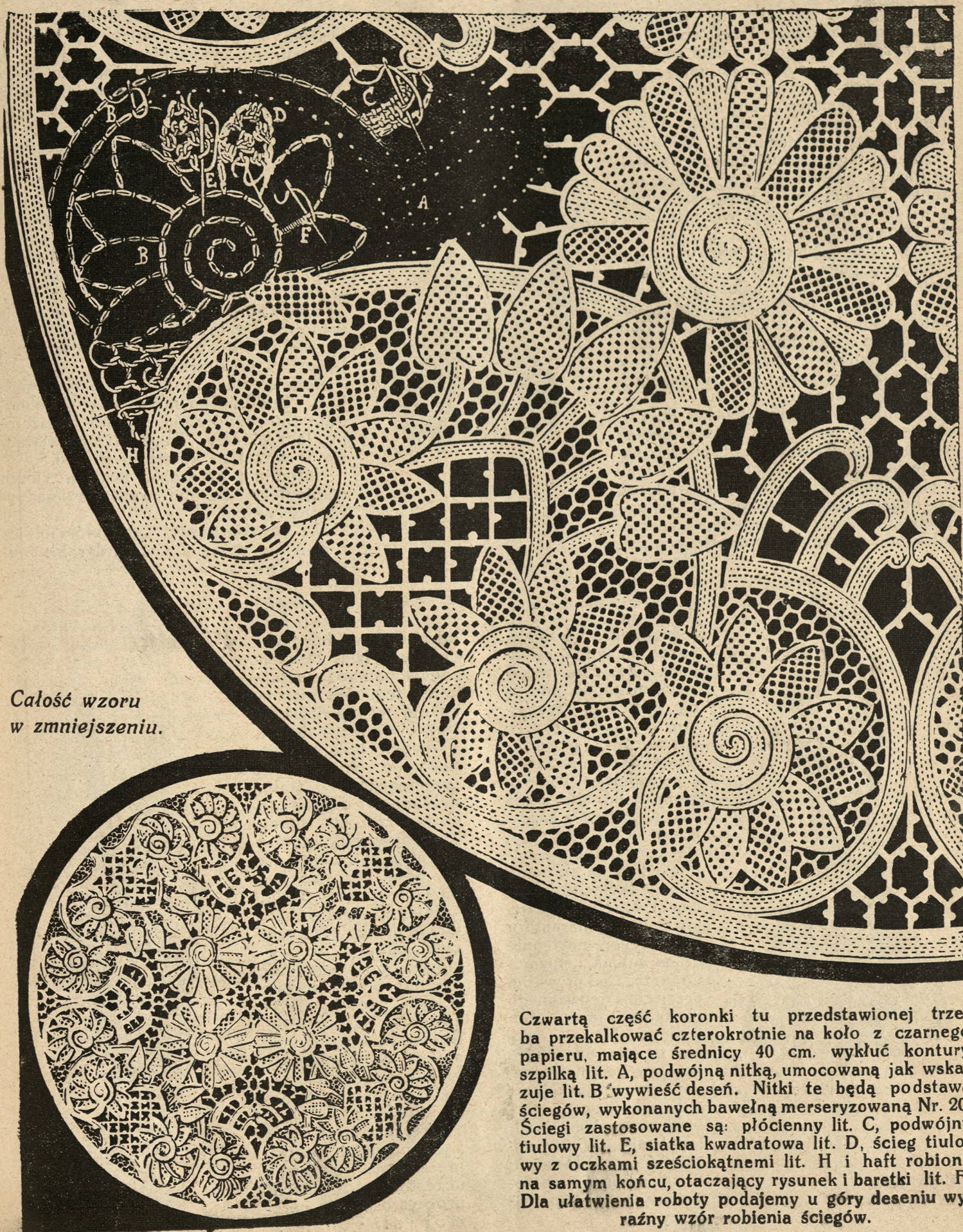
165.



166.



PODUSZKA Z WENECKIEJ GIPJURY



*Całość wzoru
w zmniejszeniu.*

Czwartą część koronki tu przedstawionej trzeba przekalkować czterokrotnie na koło z czarnego papieru, mające średnicy 40 cm. wykluc kontury szpilką lit. A, podwójną nitką, umocowaną jak wskazuje lit. B wywieść desęń. Nitki te będą podstawą ściągów, wykonanych bawełną merseryzowaną Nr. 20. Ściegi zastosowane są: płócienny lit. C, podwójny tiulowy lit. E, siatka kwadratowa lit. D, ścieg tiulowy z oczkami sześciokątnymi lit. H i haft robiony na samym końcu, otaczający rysunek i baretki lit. F. Dla ułatwienia roboty podajemy u góry deseni wyrażny wzór robienia ściągów.

LIST Z PARYŻA

Paryż w styczniu.

Nowy Rok zaczął się niebardzo promiennie, bo deszcz i mgła sprzysięgły się na zepsucie pogody. Jedna ze znajomych wybiera się na południe, inne znów o sportowych zachciankach szykują się do „Chamonix”, aby tam z powodzeniem uprawiać „bobsleigh” i inne tego rodzaju przyjemności. Ale, niezależnie od tego, czy wyjeżdża, czy zostaje w Paryżu, każda z Pań, mająca pretensje do elegancji, musi się oddać z całym zapalem poważnym refleksjom toaletowym.

A więc przedewszystkiem suknie wieczorowe, gdyż styczeń i luty to pora balów i przyjęć. Nie należy się dziwić, że z kwestji napozór tak błahej, jak balowa suknia, powstaje w umyśle Pani prawdziwa walka, bo niestety w obecnej chwili suknia to majątek, a jednak, czy można pokazać się w sukniach z ubiegłego sezonu.

Zadanie doprawdy niełatwe do rozstrzygnięcia, na które widzę jednak doskonały punkt wyjścia: obstałować narazie jeden model „dernier cri”, ciemny i nie zanadto dekolowany, coś takiego co będzie mogło służyć do stałego użytku, a suknię z zeszłego sezonu misternie przerobić na okazje rzadsze.

Bo musimy się zgóryzgodzić na

jedną rzecz, że kobieta, chcąc nawet z oddalenia śledzić za wskazówkami mody, powinna posiadać przynajmniej trzy suknie wieczorowe: przedewszystkiem skromną z jedwabnego voillé'u, koronki, lub atlasu bez rękawów, lecz z karczkiem schodzącym zlekka na ramiona—odpowiednia na skromne obiady (kolacje), dancingi i wszelkie okazje, pozbawione charakteru oficjalnego;—następnie druga suknia, służąca do teatru i na prywatne przyjęcia z jedwabnegoksamitu, lamy, lub jasnego atlasu, i wreszcie trzecia, na okazje zupełnie ceremonialne, bogata, połyskująca, cała zahaftowana perłami, „strass’ami i paillette’ami”. W tej ostatniej są łaskawie uwzględnione, a nawet wskazane, obnażone plecy.



Pomówmy przedewszystkiem o pierwszym z proponowanych przeze mnie modeli: czarna sukienka z „voile de soie”, specjalnie miła w noszeniu. Zresztą „voile de soie” to ostatnia nowość. Żeby podnieść jego naturalny urok, mieszają czarny z blado różowym, co daje kombinację niezmiernie szczęśliwie pomyślaną i pełną dystynkcji.

Muszę jednak zrobić zastrzeżenie, że „voile de soie” musi być powierzony bardzo dobrej krawcowej, gdyż średnia nietylko nie otrzyma pożądanego efektu, ale zrobi coś pretensjonalnego i trącego zdala prowincją. Żeby obracać w rękę „voile de soie”, trzeba znawcy, specjalisty, który jedynie jest w stanie wydobyć detale kroju, misterność wykończenia i nadać całości nieuchwytną lekkość i powiewność.

Podaję tutaj model z czarnego muslinu. Spódniczka, marszczona w festony, daje zauważyć spód również marszczony, lecz różowy. Takż karczek wiążący się w węzeł na ramieniu (fig. 1).

Natomiast przeróbka jasnych sukien z ubiegłego sezonu wyrówna nadwyrężony budżet.

Nie przypuszczam, aby którakolwiek z Pań nie posiadała w garderobie swojej ja-
kiejś prostej jasnej sukienki

z haftu, lamy, lub georgette’y. Nic łatwiejszego nad przekształcenie tego skarbu na suknię w dzisiejszym tonie. Należy dodać z dwóch boków dwa mocno marszczone „panneaux” z tiulu, dokładnie dobranego w kolorze do sukni. Zprzodu wyciąć suknię w ostry kąt, idący aż do pasa i dodać kamizelkę z tego tiulu, wziętego podwójnie. Oblamować błyszczącym galonem to wycięcie, co daje tak chętnie praktykowane w tym sezonie skrzyżowanie na przodzie. Bardzo łatwo otrzymać można w ten sposób toaletę nader efektowną i przyjemną w noszeniu (fig. 2)

Wreszcie, jeżeli która z Szanownych Czytelniczek ma okazję uczestniczyć w jakichś uroczystościach ceremonialnych, radzę



znów uciec się do własnej intuicji, jako najlepszego źródła natchnienia.

Można, jak w poprzednim modelu, posilkować się prostym zupełnie „fourreau” z chiffonu, lub lamy srebrnej, albo złotej, lub z jakimś delikatnym odcieniem. Zahaftować cały materiał strassami, perłami,

lub paillette'ami, kierując się jakimś geometrycznym motywem. Przeciąć z tyłu suknię od góry do dołu, drapując ją zlekka niżej pasa i zostawiając na plecach wycięcie bardzo długie i wąskie. — Wreszcie spiąć draperję ogromnym węzłem z tego samego co suknia materiału (rys. 3). *Sekwa.*

STAROŚĆ

W życiu kobiet, aczkolwiek coraz częściej planowem i ujętem w ramy racjonalnego wysiłku, jest jeden niedobór—brak myśli o starości, starości, co pozbawiona swego własnego, ciepłego i cichego kąta, nawet w najpomysłniejszych warunkach staje się Golgotą.

Zasadniczy błąd, który mści się w przyszłości dotkliwie, polega na lekkomyślnej wierze, tak konsekwentnie związanej z nieopatrznością lat młodych, wierze w niewyczerpane źródło sił, które bijąc w danym momencie tak życiodajnie, zdaje się być niewyczerpanem, oraz na przyczajonem w głębi macierzyńskiego serca przeświadczeniu, że dzieci chowa się jednak po to, aby oddały kiedyś w przyszłości sumę starań i poświęcenia, jakie włożyło się w ich wychowanie.

Obydwa te wierzenia są zawodne. Siły wyczerpują się w życiowym deptaku bezpowrotnie, a ciągle trwanie na posterunku miłości i poświęcenia nie pozwala najczęściej w porę i skutecznie pomyśleć o akcji ratunkowej, co w następstwie wyradza przedwczesne choroby, trawiące ciało i duszę.

Dzisiejsze pokolenie wysportowane, wygimnastykowane, żyjące w imię nowych haseł i rozleglejszych horyzontów, zdoła może docenić ważkość zabezpieczenia sobie lat starości, pod względem fizycznym, czyli zdrowotnym, i materialnym, rozumiejąc, że zależność ciężka w pełni rozkwitu życiowego, staje się źródłem największej udręki, jeżeli przyłączyć i zależność czysto fizyczną, wpływającą z niemocy cielesnej.

Jak trudno nawet tam gdzie serca czują gorąco o aksamiłne i miękkie dotknięcie, które utuliłoby taką siwą skolataną głowę i dało jej poczucie bezpieczeństwa i wytchnienia.

Życie niesie młodych na swojej wartkiej fali, odbiegają tak daleko i takim szybkim żeglują tempem. Dnie idą za dniami w gorączkowej pracy i trudzie, a cicha tragedia życia, którego ostatni akt rozgrywa się w głębi jakiegoś przepaścistego, miękkiego fotela, życia, któremu z pozoru nie brak nic, a które jednak tak boleśnie czuje, że jest poza kręgiem, zauważoną i zrozumianą zostaje zazwyczaj po niewczasie, kiedy tym, co mogli wpleść promień słońca w szarzyzną biednych dni, nie pozostaje nic, nad wyrzut sumienia—u rozwartej mogiły. Czy rzeczywiście brak nam mocy, aby wywalczyć sobie warunki niezależne, a przez to samo utrzymać się do końca na poziomie, być ośrodkiem danego grona ludzi, z którymi dawniej łączyły nas wspólne przeżycia, a dzisiaj wspólne wspomnienia, nie dać się sprowadzić do rzędu życiowych emerytek, do rzędu tych, które już tylko mogą po-

trzebować? Jako najcenniejszy walor życiowy, starajmy się zachować do końca dni naszych rolę tych, którzy zawsze coś mają do dania.

Kto zna życie, przyzna rację twierdzeniu, że ześrodkowaniem tych dodatnich wartości będzie niezależność materialna, a w równym rzędzie zachowanie jaknajdłuższe odporności fizycznej.

Kwestja zabezpieczenia sobie na stare lata bytu jest kwestją niezaprzeczenie trudną, jeżeli weźmiemy pod uwagę osobę, nie posiadającą żadnego osobistego majątku, lub też ujętych w pewne ramy i na trwałych podstawach ugruntowanych dochodów, nie jest ona jednak niedoścignioną, trzeba tylko więcej przeczności, zastanowienia i dalekowzroczności, na którą stać każdą zrównoważoną jednostkę.

Wierną sojuszniką w zdobyciu zamierzonego celu będzie nam zawsze oszczędność i racjonalne zestawienie budżetu, w którym muszą być przewidziane pewne odsetki nietykalne, a przeznaczone na fundusz żelazny, co zapewni nam w przyszłości dach nad głową i najskromniejszy chociaż kawałek chleba, aż do śmierci.

Odpowiedź mi na to, że uposażenie ludzi w tych czasach jest tak szczupłe, że zaledwie koniec z końcem związać można, a jednak we Francji np. niema prawie człowieka, który nie odkładałby części swego zarobku i nie zgromadził większej, czy mniejszej renty na stare lata, tak dla siebie, jak i swojej towarzyski życia, troska o byt której nie opuszcza go ani na chwilę. Czy warunki ich są o tyle lepsze, czy też zagadka leży poprostu w tem, że posiadli od lat bezcenną umiejętność oszczędzania, której brak daje nam się tak dotkliwie odczuwać w życiu rodzinnem i narodowem.

Sekret leży przede wszystkim w tem, aby zrozumieć zawczasu, że niema ani jednego dnia do stracenia i że gmach przyszłości trzeba wznosić od pierwszego dnia samodzielnego wejścia w życie, że nie czas będzie drzeć z lęku przed widmem niezabezpieczonej starości, wtedy gdy siły nas opuszczają, jak nie czas wzywać lekarza, gdy śmierć w oczy zagląda. Przy dzisiejszym systemie wychowania, docenianiu higieny, wyrobieniu sportowem, przebywaniu na powietrzu, racjonalnem zapatrywaniu się na ważkość zasilania organizmu, liczyć można, że przeciętna jednostka będzie pracowała zarobkowo bez nadmiernego wysiłku do lat pięćdziesięciu. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że weszła w życie w wieku lat dwudziestu jeden obliczenie to da nam poważną liczbę lat prawie trzydziestu, w czasie których najdrobniejsze oszczędności pozwolą opłacać systematycznie polisę ubezpieczeniową, zabezpieczającą po upływie tych znojących lat pracy wytchnienie i niezależność. Tam gdzie kobieta siły swe



poświęca rodzinie, a ciężar obowiązków włożony na jej barki nie pozwala zarobkować na swoją rękę, winna wyzbyć się tak często spotykanej nadmiernej delikatności, która nie pozwala jej pamiętać o sobie i narzucać tę troskę innym, a w imię dobra własnego i dobra swego współtowarzysza życiowego ma nie tylko prawo, ale i obowiązek, żądać, aby myśl o przyszłości stała się nie chimera, a obowiązkiem.

Dla kobiety, specjalnie, siłą pomocniczą do uchronienia się od moralnej i duchowej tragedii, tak ściśle związanej z okresem starości i poczuciem osamotnienia, będzie prąd, jaki już dzisiaj tak zbawiennie daje się wyczuć w kierowaniu młodem pokoleniem dziewcząt, prąd któremu na imię samowystarczalność. Dziewczęta, kształcone dzisiaj, pójdą

w świat ze skarbem wiedzy i fachowego przygotowania do życia i pracy, przeczulenie kobiet zesłanego stulecia, które nakształt bluszczu owijać musiały egzystencję swoją o pień cudzej i to silniejszej, stanie się dla nich anachronizmem, siłę czerpać będą z poczucia swego dostatecznego przygotowania do życia i dostatecznej odporności. Zrodzone i wychowane do czynu, wyćwiczą dzieci swoje na dzielnych bojowników, a wewnątrz ich maleńkich własnych domków, co, wzniesione trudem całego życia, ochronią starość przed rozpaczliwą pustką dróg rozstajnych, aczkolwiek gotowe zawsze na radosne przyjęcie drogich nad wszystko piskląt, co na mocnych skrzydłach wzbiły się w przestworze, będą jednak, aż do końca ześrodkowaniem ich własnego życia i ogniskiem, które ozłoci ciche dni spokojnej starości. *N-ska.*

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

(dokończenie)

Pasy gumowe, szumnie reklamowane X. Y. są niezdrowe, niehigieniczne, uciskają wnętrzości i powodują wypryski. Jedynie pasy z jedwabnej plecionki gumowej są dobre, wygodne i zdrowe.

Osobiście polecam leki roślinne, które przy odpowiednim odżywianiu i odpowiednim ruchu dają najlepsze rezultaty.

Po długich doświadczeniach udało mi się dobrać lek, składający się ze środków roślinnych, działających wyłącznie w kierunku odtłuszczającym, a nieszkodliwych dla organizmu.

Podstawą tej recepty jest nie tylko dobór środków, ale i ich wzajemny stosunek. Składa się ona z *Lignum radicis sasafra*s, *Radix ononidis spinosae* i *Radix glycerhysae* — roślin, pochodzących częściowo z Ameryki i Europy.

Zwłaszcza *Radix sasafra*s cieszy się wśród miejscowych Indianek powszechnym zastosowaniem. Skombinowane działanie tych środków daje działanie łagodnie drastyczne — pocią i mocz pędne. W większości wypadków osiąga się jak najlepsze rezultaty. Przez działanie lekko drastyczne (przeczyszczając) organizm oczyszcza i reguluje funkcje przewodu pokarmowego, co wpływa dodatnio na ogólny stan zdrowia.

Nie należy lękać się, że picie ziółek, o których wspominałam, w każdym wypadku da odpowiednie rezultaty. Musi się tu uwzględniać następujące warunki:

- 1) Organizm powinien być całkowicie zdrowy.
- 2) Środki te należy stosować co najmniej przez 2—3 miesiące.
- 3) Przy kuracji potrzebny jest odpowiedni ruch.
- 4) Konieczna jest następująca dieta:

rano: kawa lub herbata, 2 jaja, sucharki (dla słabszych chleb razowy jedna kromka).

obiad: talerz zupy, kawałek mięsa, jarzyn jak najwięcej, dużo kompotu.

kolacja: kwaśne mleko, jarzyny (dla słabszych mięso—kawałek chleba razowego).

Owoce podczas dnia w ilościach dowolnych. Pozatem możliwie unikać: wody, herbaty, piwa, lemonjady.

Przy tej kuracji wskazana jest gimnastyka i masaż. Leczenie to należy powtarzać dwa razy do roku. Stosowanie tych środków ma tę dobrą stronę, że odtłuszczanie następuje powoli.

Wskutek tego nie tworzą się zmarszczki na twarzy i ciele i wskutek nagłego schudnięcia nie cierpią organy wewnętrzne.

SPOSÓB UŻYCIA.

Jedną tabletkę kory nalać litrem wody zimnej i wygotować do $\frac{3}{4}$ litra. Następnego dnia rano, przed wstaniem z łóżka, wypić połowę na gorąco. Po wypiciu obowiązkowo poleżeć co najmniej 20 minut w dobrze ogrzanym pokoju. O ile występują poty, zmyć ciało z wydzielonego potu. Są organizmy, które pocą się bardzo nieznacznie. Pozostały płyn podzielić na 2 połowy. Jedną połowę wypić na zimno i natychmiast wyjść na spacer (1—2 kilometrów przejść szybkim krokiem). W ostateczności spacer można zastąpić gimnastyką pokojową 15 minutową.

Ostatnią porcję wypić na noc w łóżku na gorąco. Przed wypiciem poleca się 10 minut gimnastyki, ewentualnie masaż. Co miesiąc konieczne jest ważenie się dla kontrolowania ubytku wagi.

Uwaga: Przez regularne stosowanie tego leczenia można osiągnąć jedynie schudnięcie ogólne, a nigdy częściowe, np. zmniejszenie się biustu. W takich wypadkach może pomóc jedynie masaż, umiejętną ręką stosowany.

Dr. J. Świtalska

HODOWLA JEDWABNIKÓW

(ciąg dalszy)

Przystępując do hodowli, trzeba przedewszystkiem mieć zabezpieczoną żywność dla jedwabników, czyli trzeba mieć drzewa morwowe. Choć nie jest prawda, że morwa łatwo marznie, rośnie bowiem w naszym klimacie doskonale, rzadko spotykamy te drzewa w naszych ogrodach.

Najwłaściwszą dla nas odmianą jest morwa biała, która szybko rośnie, znosi dobrze nasz klimat i daje dużo miękkich, smacznych liści — bardzo lubianych przez jedwabniki w przeciwieństwie do twardego, włochatego liścia, morwy czarnej.

To też morwą białą głównie się zajmujemy. Drzewa morwowe nie są wybredne, nie potrzebują specjalnych terenów, rosną wszędzie, przy domach, przy drogach, w parkach i ogrodach, gdzie prowadzić je także można krzaczasto — tworząc z nich żywopłoty. Drzewa te są bardzo trwałe, przy odpowiedniej kulturze żyją sto i więcej lat, należą do rodziny morwowatych. Najbardziej w Europie rozpowszechnione odmiany są: morwa czarna i morwa biała.

Ojczyzną morwy białej są Chiny, skąd przeniesiono ją do Europy podobno w 553 r. po Chr., ale do piero w XV wieku spotykamy się ze śladami jej hodowli w Europie zachodniej, a w XVI wieku w Polsce.

Morwa biała ma kwiaty męskie w kształcie długich kłosek i żeńskie krótkie, owalne.

Owoce, podobne do jerzyn w kolorach czarnym, białym i czerwonym, liście miękkie, nierównomierne, z brzegami w ząbki wyciętymi, u szczepionych drzewek sercowate, u nie-szczepionych silnie powycinane. Drzewa morwowe można rozmnażać za pomocą siewu, odkładów i sadzonek.

Owoc morwy na nasienie trzeba zbierać z drzew, z których przynajmniej rok liście nie były zrywane, jagody powinny być zupełnie dojrzałe dla otrzymania ziarenek postępuje się z nimi tak, jak z innymi jagodami.

Morwę u nas sieje się tylko na wiosnę — w połowie maja, na południu można siać też na jesieni, u nas jednak jesienny siew z powodu wcześniejszej zimy nie daje dobrych rezultatów. Żeby przyspieszyć kiełkowanie, należy przed zasiewem moczyć 48 godzin ziarnka w słonej wodzie (na szklaną wodę 12 gr. soli kuchennej).

Ziarnka siejemy w ziemię pulchną, ogrodową; Aż do zejścia siewek, a później i w lecie podlewamy zągerek tak często, aby nie uformowała się na nim skorupa.

Po upływie 10—15 dni morwy powinny zacząć wschodzić. Gdy siewki będą miały co najmniej po 5 listków, trzeba rozsadzić je z miejsc, gdzie zbyt

gęsto wzeszły. Od września podlewa się coraz rzadziej, aby siewki mniej bujały, a pnie ich więcej drewniały.

W pierwszym roku wyrosnąć powinny do pół metra, a jako wrażliwe i delikatne, bo młode, na zimę trzeba je okryć gałązkami świerku, choiny i liśćmi. W następnym roku młode siewki rozsadzamy do szkółek, które zakładamy w miejscu słonecznym, na dobrej, pulchnej ziemi, przekopanej w poprzednim roku, głęboko z nawozem, sadząc je co 60—80 cm. tak samo głęboko, jak rosły poprzednio. W następnych latach pilnujemy oczyszczania i spulchniania ziemi między sadzonkami, zasilamy je obornikiem, a zapomocą umiejętnego wycinania pędów formujemy koronę drzewka, które, po upływie 8-miu lat, powinno być zupełnie ukształtowane i mieć wygląd kielicha, złożonego z 48 pędów. W czwartym roku życia przesadza się młode drzewka ze szkółek na miejsce stałego ich przeznaczenia.

Morwa rośnie na każdej glebie, najlepiej jednak udaje się na lekkiej, gliniasto-piaszczystej, specjalnie nie lubi ziemi sapowatej, zimnej i wilgotnej. W pomyślnym rozwoju plantacji dużą rolę odgrywa odległość między drzewkami, która u drzew wysokopiennych powinna wynosić 8—10 metrów, u krzaków sadzonych luźno 2 metry, a na uformowanie żywopłotów—50 cm.

Drzewa morwowe, tak jak i owocowe sadzić można na bardzo wczesną wiosnę, lub na późnej jesieni, zależnie od warunków miejscowych. Do sadzenia drzewek kopie się doły średnicy $1\frac{1}{2}$ metra, głębokie $\frac{1}{2}$ do 1 m.

Kopiąc, trzeba odkładać oddzielnie wierzchnią, oddzielnie spodnią warstwę ziemi. Przy sadzeniu drzewka sypie się na dno dołu ziemię wierzchnią, zmieszana z nawozem—opiera się o nią korzenie morwy i zasypuje dół pozostałą ziemią.

W mokrej glebie kopie się doły płytsze, w suchej głębsze. Do sadzenia jesiennego trzeba przygotować doły na wiosnę, do wiosennego na jesieni roku poprzedniego.

Liście z drzew wysokopiennych bez szkody dla drzew zbierać można dopiero po uformowaniu korony t.j. w 9-tym roku życia morwy. Nie chcąc tak długo czekać, posilujemy się morwowymi krzakami, które już w 4-tym roku można obcinać. W tym celu zakładamy także morwowe żywopłoty, które, strzygąc podczas hodowli, użytkujemy na żywność dla gąsienic. Przez obcinanie gałązek pobudzamy drzewa i krzaki morwowe do puszczania nowych pędów i tak zwiększamy produkcję liści.

(c. d. n.)

J. S.



gałązka i owoc morwy.



ZAKŁADANIE INSPEKTÓW

Zbędne byłoby dowodzenie, jak wielkie znaczenie posiada inspekt dla ogrodnictwa wogóle, a w szczególności dla uprawy warzyw wczesnych. Ale nawet dla upraw późniejszych inspekt jest do stawca rozsąd, które następnie przenosimy w grunt.

Trzeba rozróżniać inspekty ciepłe (względnie gorące), półciepłe i zimne. Najtrudniejsze do założenia i pielęgnowania są inspekty ciepłe, tembardziej, że korzystamy z nich w czasie, gdy temperatura zewnętrzna najbardziej się różni od tej, którą sztucznie wytwarzamy pod osłoną okien, a dni są najkrótsze i brak słońca dotkliwie się daje roślinom we znaki.

Inspekt ciepły może być ogrzewany parą, lub gorącą wodą, krążącą w rurach, przeprowadzonych pod pokładem ziemi, albo ciepłem, powstającym z fermentacji nawozu końskiego, liści, odpadków garbarskich, lub z fabryk bawełnianych, wreszcie różnych tych materij organicznych pomieszanych. Inspekty ogrzewane parą, lub wodą znajdują zastosowanie tam, gdzie jest centralne ogrzewanie, albo gdzie z fabryk spływa stale gorąca woda, czy też uchodzi para. Ogrodnicy przeważnie posługują się inspektami, ogrzewanymi nawozem końskim i liśćmi, przy czem czysty nawóz daje najwyższą temperaturę, pomieszany z liśćmi, lub przełożony warstwami liści daje nieco niższą, a założony na samych liściach grzeje się jeszcze słabiej, ale przez dłuższy czas utrzymuje równomierne ciepło.

Zanim zaczniemy zakładać inspekt, trzeba przy szykować plac, co najlepiej uczynić w jesieni. Plac powinien być wywyższony, pochylony nieco ku południowi, ze ściekami po bokach, żeby woda deszczowa, przesiąkająca przez nawóz, swobodnie odpływała. Wodę taką, wypłukującą z nawozu wiele składników odżywczych, można chwytać w studzienki i następnie używać jej do polewania roślin. Odprowadzanie wody chroni inspekt od zamoknięcia i sprzyja utrzymaniu równomiernej ciepłoty w nawozie. Przygotowany plac trzeba przed nadejściem mrozów nakryć nawozem, liśćmi, łęcinami, albo innym materiałem, zabezpieczającym ziemię od zamarzania.

Gdy nadchodzi pora zakładania inspektów, zwozimy na obrany plac świeży nawóz koński i składamy go na kupę, żeby się zagrzał. Jeżeli nawóz nie chce się grzać, zamarznie pod wpływem silnych mrozów, albo się grzeje nierówno, należy go przerobić, czyli przerzucić na drugie miejsce w ten sposób, żeby nawóz mocno słomisty (gruby) był do-

kładnie wymieszany z odchodami zwierzęcymi (nawóz drobny). Niekiedy wypadnie dodać nawozu świeżego, najlepiej wprost ze stajni. Gdyby i to nie pomogło, to należy w kupie nawozu zrobić jedną, lub parę dziur dość głębokich, wrzucić w nie rozpalone w ogniu kamienie, lub cegły, zalać gorącą wodą i otwory natychmiast szczelnie zatkać nawozem. Powstająca para, nie mając ujścia nazewnątrz, rozejdzie się po nawozie, sztucznie podniesie jego temperaturę i wywoła dalsze grzanie się.

Po zagrzaniu się nawozu dokładamy nawozu zimnego z placu tyle, żeby przydusić parę, wydobywającą się nazewnątrz, a zarazem nawóz zimny rozgrzać i w ten sposób zwiększyć sobie ilość posiadanej mierzwy ciepłej. Naraz należy szykować tylko tyle nawozu, ile go potrzeba do ilości skrzyń równocześnie zakładanych. Bez potrzeby nawóz na kupach grzać się nie powinien, bo ciepłik uchodzi w powietrze i powtórnie nawóz już się nie nagrzej.

Najcieplejsze inspekty u nas spoczywają na warstwie nawozu grubości 45 do 50 cm. A więc, gdy się nawóz równomiernie rozgrzeje, układamy go tam, gdzie ma być skrzynia, warstwą o wymiarach większych od samej skrzyni, w ten sposób, żeby naokoło skrzyni wystawał nawóz z każdej strony mniej więcej o 30 cm. Układamy nawóz nie od razu tak grubą warstwą, jaką ma leżeć pod skrzynią, lecz stopniowo, cofając się, rozkładamy go cienie, trochę roztrzaskując, żeby się układał równo. Nadmierne roztrzaskanie może jednak wystudzić nawóz i przestanie się grzać, zwłaszcza jeśli dzień jest mroźny, albo wietrzny. Więc zaleca się wybierać do zakładania inspektów, o ile można, dni niezbyt mroźne, nie wietrzne i godziny południowe. W każdym razie nie powinny pozostawać grudy zbite, lecz musi nawóz być wszędzie jednakowo luźny, ażeby w następstwie równomiernie osiadał.

Po ułożeniu pierwszej warstwy odwracamy się i idąc tyłem, kładziemy drugą warstwę, potem trzecią, dopóki podłoże nie osiągnie wymaganej grubości. Gdy to nastąpi, ustawiamy na niem skrzynię inspektową w kierunku ze wschodu na zachód, nieco pochyloną ku południowi, pod nogi podkładamy cegły i wewnątrz skrzyni wypełniamy aż po brzegi nawozem, poczem skrzynię nakrywamy oknami, matami i pozostawiamy w spokoju na 3, do 4 dni, do tygodnia, żeby nawóz należycie się rozgrzał. Poznać to łatwo, włożywszy rękę do skrzyni.

(c. d. n.)

St. Schönfeld.

Z HODOWLI DROBIU

NATURALNY WYLĘG PISKŁĄT

Zbliża się wiosna, a więc okres najważniejszy w hodowli drobiu — okres wylęgu i pierwszego odżywiania młodego pokolenia. Temat ten był omawiany niejednokrotnie, sądzę jednak, że nie zawadzi przypomnieć naszym czytelnikom o najważniejszych zasadach wylęgu, decydujących w znacznej mierze o powodzeniu w hodowli. Przedewszystkiem musimy dobrać sobie bardzo starannie jaja wylęgowe. Zbieramy je sami od własnych kur, lub też sprowadzamy. Używając jaj ze swego gospodarstwa, na-

leży je wybierać od kur nośnych, odznaczających się pożądanymi dla nas cechami (dobroć mięsa, odporność na niekorzystne warunki i t. p.). Baczna uwagę należy zwrócić, aby koguty w naszych stadkach pochodziły od dobrych kur, i aby wypadało nie więcej niż 16—20 samiczek na jednego koguta. Kokoszki, chodzące bez koguta, niosą się również, lecz jaja ich nie są zapłodnione. Jaja wylęgowe powinny mieć skorupkę mocną, lecz gładką, bez szczególnych zniekształceń i przedewszystkiem być świeże,

Najlepsze są od 3-go do 10-go dnia po zniesieniu. Jaja starsze, niż 14-dniowe, nie powinny być używane do wylęgu. Wyjątkowo, o ile mamy do czynienia z materiałem bardzo cennym, możemy ryzykować do 4 tygodni, jednak zgóry trzeba być przygotowanym, iż wynik będzie niepewny. Aby uniknąć pomylenia jaj świeższych ze starszemi, najlepiej od razu napisać zwykłym ołówkiem na tęym końcu jaja datę zniesienia. Co do wielkości jaj wylęgowych, to najlepsze są średnie. Drobne dają najczęściej słabe pokolenie, zbyt duże mogą zawierać 2 żółtka i wówczas nic z nich nie otrzymamy. Jaja wylęgowe trzeba przechowywać w miejscu suchym, chłodnym (6°—10° R.) i przewiewnym, ułożone rzadko, jedną warstwą. Co 1—2 dni należy je obracać. Musimy stale pamiętać, że wewnątrz jaja znajduje się substancja żywa, której należy dać warunki higieniczne, a zatem porowata wapienna skorupka musi być zupełnie czysta. Najlepiej osiągnąć to przez utrzymanie w czystości kurników, gdyż mycie jaj wylęgowych może być jedynie wskazaniem, jako zło konieczne, w wypadku zanieczyszczenia jaj przez nasiadkę. Lepiej jest nie zmywać ze skorupki cieniutkiej warstewki lepkiej substancji, która zabezpiecza zawartość przed zbyt niemiłym wysychaniem. Powyższe uwagi o jajach dotyczą wszystkich rodzajów drobiu. Pomówimy teraz o wylęgu. Pierwszeństwo mamy kurom, gdyż są one najbardziej rozpowszechnione w naszych gospodarstwach. Kilka słów musimy powiedzieć o wyborze niasadek, które muszą odznaczać się całym szeregiem zalet. Najlepsze są kury łagodne, niepłochliwe, średniej wielkości (zbyt ciężkie gniją jaja) i porządne, nie zanieczyszczające gniazd. Bardzo ważnym jest, aby nasiadka sama schodziła z jaj w celu pożywienia się i wypróżnienia i sama wracała do gniazda najwyżej po 30-minutowym spacerze w dni ciepłe i 15-minutowym w chłodne wiosenne dni. Takie cnotliwe kwoczki nietrudno jest sobie dobrać, zwłaszcza wśród kur starszych. Najlepszymi niasadkami są nasze zwykłe swojskie kury. Gniazda należy urządzać w miejscach zacisznych, niedusznych, niezbyt narażonych na operację słońca. Niasadki, trzymane w miejscach gorących i dusznych, często porzucają swe gniazda. Lepiej jest, aby zbyt wiele niasadek nie siedziało w jednym pomieszczeniu, bo wynikają stąd niejednokrotnie bójk i zamieszanie gniazd. W pobliżu gniazd musi być urządzona grzebalnia z piaskiem, lub popiołem, aby niasadki mogły się dowoli w nim wytrześć. Wogóle przed nasadzeniem należy sprawdzić, czy kura nie ma robactwa, które wcale nie pomaga do cierpliwego wysiadywania piskląt. Na gniazda można używać koszyków, drewnianych skrzynek, rozciętych beczek i t. p. Na dno należy nasypać grubą warstwę piasku, następnie wysypać sieczką, a wreszcie gniazdo właściwie najlepiej zrobić z krótkiej targanej słomy (siano zbyt rozparza kwokę).

Pod kurę przeciętnej wielkości podkłada się 15 średnich jaj. Zależnie od wielkości kury można ilość tę zwiększać, lub zmniejszać. Trzeba uważać, aby wszystkie jaja były dobrze okryte, żeby nie zaziębiały się w czasie wysiadywania. Okres nasadzenia jest długi, bo trwa od marca aż do sierpnia, lecz wcześniejsze lęgi są zawsze lepsze, gdyż młodzię ma więcej czasu na wzmacnianie się i rozwinięcie dobre przed zimą. W czasie wysiadywania należy raz na dzień, bardzo regularnie, podawać kwokom

pożywienie (złożone z parowanych ziemniaków z otrębami pszczeni i jęczmienia) i czystą wodę do picia. Po jedzeniu trzeba naczynia z resztkami sprzątnąć. Nie można stawiać naczyń zbyt blisko gniazda, bo wówczas kwoki, mogąc dosięgnąć pożywienie, nie chcą schodzić z jaj i zanieczyszczają je. O ile nasiadka sama nie zdradza ochoty do zejścia z gniazda, trzeba ją zdjąć delikatnie, aby się pożywiła i rozprostowała kości, bo zdarza się, że zbytnią gorliwość kwoki przypłaca jej życiem. Kura przeciętnie siedzi na jajach 20—21 dni. W czasie chłódów, lub pod wpływem niedbałego wysiadywania wylęg może być o dzień, lub 2 opóźniony. Około 7-go dnia możemy jaja przejrzeć, aby usunąć niezależone. Jaja przegląda się patrząc przez nie na silne światło lampy; o ile jajo ma wewnątrz ciemną plamkę z rozchodzącymi się od niej promienisto żyłkami, to jest zależone. W czasie wykluwania się piskląt należy zostawić je w spokoju. Zdrowe, silne kurczęta wydobywają się ze skorupki zupełnie samodzielnie, a przez częste zagłębienie zbyt niemiłymi kwokę i oziębiamy młode istotki. O ile kurczęta wykluwają się jednocześnie (w ciągu jednego dnia), to można je zostawić pod kwoką, usuwając co kilka godzin puste skorupki. Jeżeli w czasie lęgu są duże różnice, trzeba wówczas obesznięte kurczęta stawiać w ciepłym miejscu w koszyczku z pierzem, gdyż zdarza się często, że kwoka schodzi z gniazda z najstarszymi pisklętami, zostawiając resztę niewykłutych jaj.

Po wykluciu się wszystkich pisklątek ścielamy nowej rodzinie niskie, miękkie gniazdo, zabezpieczone od chłodu i szkodników. Dobrze jest gniazdo w pierwszym dniu czemś zagrodzić, aby kwoka zbyt prędko małych nie wyprowadziła na chłodną ziemię, od której ziębią sobie brzuszki. Przy sprzyjającej pogodzie może stadko od 3-go dnia chodzić swobodnie po dworze. Małeństwa zaczynamy karmić najwcześniej po 24 godzinach. Bezpośrednio przed wylęgiem kurczęta wchłania żółtko, które mu wystarcza, jako doskonały zapas pokarmu, na pierwszy okres samodzielnego istnienia. Byłoby wczesne karmienie wywołuje zaburzenia żołądkowe. Po upływie doby trzeba podać kurczętom pożywienie, złożone z jaja, rozbitego w mleku, ściętego na ogniu i starannie potem rozartego. Jest to doskonały lekkostrawny pokarm, o wiele zdrowszy od siekanego twardego jajka. Począwszy od 3-go dnia można rzucać młodym różne drobne kaszki (najlepsza jęczmienna), aby przyzwyczajać do ziarnistego pożywienia. Od 3-go dnia również należy podawać kurczętom picie — z początku mleko, a po kilku dniach czystą wodę.

W drugim tygodniu można dodawać do jedzenia siekaną zieleninę w postaci pokrzyw, koniczyny i t. p. Wpływa to bardzo dobrze na trawienie. Dobrym pokarmem dla młodych kurcząt jest również gotowany ryż, gotowana kasza jaglana (surowa zbyt ciężka), kaszka jęczmienna, świeży niekwaśny twaróg, bułka podsuszona i pokruszona i t. p. Pożywienie białkowe — mięsne same sobie wyszukują w postaci owadów i robaczek. Do końca pierwszego miesiąca powinny kurczęta dostawać jedzenie 5 razy dziennie, potem można zmniejszać stopniowo ilość posiłków. Dobra kwoka sama pamięta zwykle o przyprowadzeniu swoich małych na czas podawania pokarmu.

O wylęgu i pierwszym wyżywieniu piskląt innego rodzaju drobiu pomówimy następnym razem.

Halina Bilka.

O DYSPOZYCJI OBIADÓW

W przeciętnym domu rodzinnym, polskim, ja-
dłospis codzienny składa się z kilkunastu wciąż
tych samych, wciąż powtarzających się potraw.
Z zup: rosół, najczęściej z kartoflami, lub kluskami
krajanymi, barszcz, kapuśniak, krupnik, rzadziej gro-
chówka, od wielkiego dzwonu jesienią zupa pomi-
dorowa, wiosną szczawiowa z jajami. Z mięs:
kotlety siekane, szufada, zrazy duszone, pieczeń
cielęca, schab wieprzowy, rzadziej baranina, od
święta gęś, lub kura, od gości indyk, lub zając.

Jarzyny, to kartofle w różnych postaciach,
przeważnie jednak przysmażane, lub z wody, mar-
chewka, buraczki, kapusta duszona, w sezonie kala-
fjory, wiosną czasem szpinak, lub szparagi, w ogól-
ności jednak prawdziwych jarzyn mało, dużo mniej,
niż ich jedzą Niemcy, Francuzi, a szczególnie Włosi.
Mówię prawdziwych jarzyn, bo u nas potrawy mącz-
ne, wszelkie kluski, kasza i makarony przez jakieś
dziwne nieporozumienie jarzynami nazywają. Tych
kasz i klusek jada się sporo, przeważnie ciężko
i niesmacznie przyrządzonych.

Leguminy też nie grzeszą pomysłowością, kom-
poty, racuszki, lub naleśniki z konfiturami, ryż z jabł-
kami, jakichś parę zawsze nieudanych legumin na
białkach, od gości krem czekoladowy, lub galareta
cytrynowa z winem.

Dalej umiejtność kucharki i pomysłowość pani
domu nie idą. Nie mówię tu o wyjątkach, — oczy-
wiście są i dobre kucharki i doskonałe gospodynie,
mówię o tej przeciętnej większości średnio zamoż-
nej inteligencji, która wszędzie na szerokim świecie
smacznie jada, a u nas niesłychanie monotennie
się odżywia.

Nic dziwnego, że pan domu od takich domo-
wych obiadów chętnie do restauracji się wymyka,
że dzieci na widok półmiska, wjeżdżającego na stół,
zakładają się między sobą o to, czy znowu będą
kotlety z tłuczonymi kartoflami, że pani domu,
zamiast zadać sobie trochę fatygi pomyślenia przy
dyspozycji, mówi do służącej, że jej już wszystko
obrzydło, że może zrobić co chce, ona więc robi
co chce, a raczej, co najmniej czasu zabiera.

Otóż żeby tak panie zechciały obliczyć su-
miennie i dokładnie koszt każdego dania, rozważyć
wartość spożywczą składowych części obiadu, uroz-
maścić — głównie urozmaścić jadłospis, czasem
wziąć jakąś książkę kucharską do ręki i tak jak za-
danie szkolne, przerobić jakąś nową potrawę z ku-
charką — przekonałyby się, że nie brak środków
materiałnych staje na przeszkodzie do prowadzenia
wykwintniejszej kuchni — lecz ich własne — lenistwo.

Ten sam codzienny rosół, jednego dnia zasy-
pany jakimś wermiszlelem, jutro z francuskimi klu-
seczkami, pojutrze z zielonemi liśćmi szpinaku i jajami
poszetowemi, lub z naleśnikami z mięsem, makaro-
nem zapiekany z szynką, lub ryżem z ostrym
serem, muszelkami z móżdżkiem i t. p., będzie co-
dziennie wydawał się innym daniem, i nie będzie
przyjmowany głośnie westchnieniem domowników:
„I znowu rosół z kartoflami!!!“.

Sztuka mięsa, w porządnie prowadzonym gos-
podarstwie zawsze następująca po rosole, — (gdyż
inne kwaśne zupy można, a nawet należy gotować
na kościach, lub wędzonce), może być podana nie-
tylko z chrzanowym lub cebulowym sosem, jak są-
dzą nasze kucharki.

Całe szeregi sosów grzybowych, pieczarkowych,
pomidorowych, musztardowych, szczawiowych, ogór-
kowych i t. p., możność zapieczenia pod beszame-
lem, w chrzanie, w purée kartoflanem, w ryżu,
w makaronie i innych przyprawach, mogą tę sztukę
mięsa urozmaicić do nieskończoności prawie.

Jako zasadę należy przyjąć, aby obiad nigdy
nie był bez jarzyny, — tej prawdziwej, — albo cho-
ciażby sałaty, ogórków świeżych, czy kwaszonych,
kapusty białej kwaszonej, czy czerwonej w sałacie.
Jeżeli u nas zimą niema kalafjorów, a nie stać na
grošek, fasolę zieloną lub szparagi z konserwy, to
można dać białą, lub włoską kapustę z rumianem
masłem lub beszamelem, marchewkę z suszonym
grozkiem, purée z brukwi, bulwę włoską, jarmuż
duszony, sałatę z rozszponki, salsefję (niestety nie-
proporcjonalnie do łatwości uprawy drogą), szpinak
zimowy, lub ostatecznie fasolę, lub dojrzały groch
zielony.

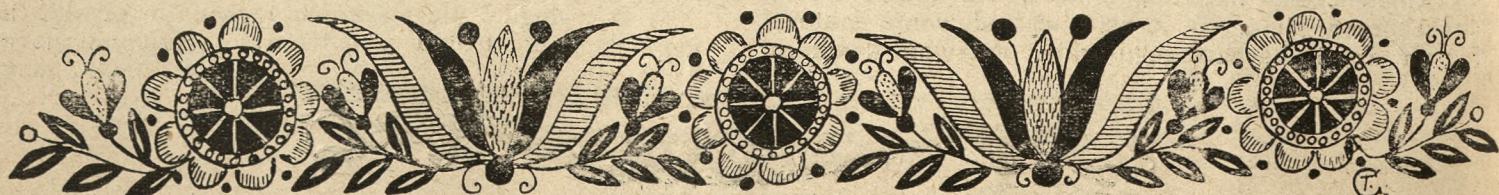
Najłatwiej jest chyba urozmaicić dania mię-
sne. Mięso każde można podawać pieczone, goto-
wane, smażone i duszone. Mięsa czarne: wołowina
i baraninę, dawać naprzemian z cielęciną i wie-
przowiną. Prosięta i drób biały w tym roku szcze-
gólniej są niewiele co droższe od mięsa jatkowego.
Zwierzyna jest u nas niestety przedmiotem zbytku,
z wyjątkiem zająca, które, jeśli przodki użyjemy
na pasztet, potrawkę lub zupę, wypadają nie drożej
od wołowiny. Nóżki, główka, wątróbka i płuka
cielęce nadają się do szeregu fantazyjnych dań,
nogi i głowa wieprzowa dają wyborne galarety, jed-
nem słowem przy trochę pomysłowości dania
mięsne mogą miesiącami całemi wcale się nie po-
wtarzać.

Za mało jemy ryb. Tu jednak mamy poważną
przyczynę — ich drożyznę. Ryby morskie, tanie i smacz-
ne, prawie do nas nie dochodzą, — w zeszłym roku
robiono próby zakładania sklepów z rybami mor-
skimi w Warszawie, — mało kto umiał je do kuchni
wykorzystać i tej zimy znowu zaledwie gdzieś na
Oboźnej można dostać flonder lub ryb wędzonych.
Ryby zaś z wód krajowych są dostępne, na codzień
chyba tylko dla paskarzy. Ryba w skromnym
trzydaniowym obiedzie daje się zamiast mięs-
nego dania, które doskonale pod względem pożyw-
ności zastępuje, — w dłuższym obiedzie idzie przed
mięsem, już dodając obiadowi cechę pewnej wystaw-
ności.

U nas się jada dużo ryb smażonych, zagra-
nicą ryby podają przeważnie gotowane tylko, z róż-
nymi sosami, lub wprost z wody z kartoflami.

(c. d. n.)

Pani Elżbieta



PRZEPISY GOSPODARSKIE

SANDACZ LUB SZCZUPAK „ORLY“.

Dużą rybę oprawić jak zwykle i pokrajać całą w pasy grubości centymetra, szerokości 6 centymetrów, długości około piętnastu centymetrów. Wszelkie ości oczywiście się usuwa. Można je wraz z głową, skrzelami i ogonem ugotować na postną zupę zabielałą.

Kawałki ryby, w pierw osolone, macza się w jajku całem, dobrze rozbitem, osącza lekko na sicie, poczem tarza dokładnie w bułeczce drobno tartą, zmieszanej po połowie z mąką pszenną. Smalec, lub najlepszą oliwę rozgrzać w głębokim naczyniu, jak na pączki, lub faworki, na wrzący wrzuca się kawałki ryby. Powinny pływać swobodnie w tłuszczu. Gdy się z jednej strony dobrze zrumienia, przewraca się je na drugą, — mocno zrumienione wyjmują się szumówką, osącza chwilę ze zbytecznego tłuszczu na bibule.

Gdy wszystkie usmażone układa się na okrągłym półmisku, — wyglądają, jak ładne faworki, — w środek wkłada się pęczek zielonej pietruszki, lub innej zieleni, wkoło okłada cytryną pokrajaną na sześć części wzdłuż, lub jeśli cytryny nieduże, na ćwiartki.

Oddzielnie można podać sos pomidorowy ostry, (bez śmietany), lub zimny provençal, czy sos tatarski. Jest to bardzo eleganckie i zarazem bardzo smaczne podanie ryby.

ROSÓŁ I POTRAWKA Z LINA.

Przy dzisiejszej drożyznie ryb doskonale połączenie dwóch łatwych i smacznych potraw.

Na pięć osób wziąć jednego dużego, kilowego lina, lub pięć małych 200 gramowych (pół funtowych). Nastawić na smak dwa litry i ćwierć wody. Włożyć w to dużą marchew, rozkrajana na ćwiartki, lub drobno uszatkowaną, pół pietruszki, pora, cebulę, kawałek selera, listek, kilka ziarn pieprzu i ziela, jarzyny mogą być całe lub poszatkowane drobno, zależnie od tego, czy lubimy je jeść w rosole, czy wolimy usunąć przed podaniem, po wygotowaniu z nich tylko smaku.

Liny powinny być przed ugotowaniem na godzinę przynajmniej wewnątrz i zewnątrz dobrze nasolone. Oddzielnie należy ugotować filiżankę drobnej, perłowej kaszy, — dobrze ją rozkleić z łyżeczką dobrego masła i trzymać na pogotowiu. Gdy smak gotów, wrzucamy nań liny i gotujemy tak długo, aż zaczną odstawać ości w głowie, skrzelach i t.p.

Na wysmarowany masłem półmisek przekładamy liny, okładamy kartoflami z wody i zalewamy zwykłym rumianym, cebulowym sosem, zaprawionym łyżką octu i karmelem z łyżki cukru, wsuwamy potrawkę pod blachę, rosół przelewamy do wazy, gdzie już włożona kasza perłowa i trochę usiekanego zielonego, świeżego, lub suszonego koperku. Z jednej ryby mamy dwie smaczne potrawy.

KOTLETY Z RYBY.

Można na nie użyć mniej smaczne, lub bardziej ościste ryby, niedobre do innego podania. Ryby oczyścić, nożem zestругać z nich całe mięso, usuwając wszelkie ości. Rybę przepuścić przez maszynkę wraz z wymoczoną w mleku bułeczką. Na pół kilo czystej rybnej masy brać trzy nieduże warszawianki. Włożyć w to sporą cebulę, przesmażoną w maśle, bez zrumienienia i wbić jedno duże, lub dwa małe jaja, osolić, nieco opieprzyć i wsypać nie-

co tartą gałkę muszkatołową. Wyrobić mocno masę ręką, aż od niej odstanie. Robić na stolnicy zgrabne, cienkie kotlety, podsypując mąkę, aby nie przys-tawały. Utarzać te kotlety w tartą bułeczce, zmieszanej po połowie z pszenną mąką i smażyć na obficie rozpuszczonem maśle, szmalcu, lub dobrej oliwie.

Do nich można podać kartofle z wody, lub przysmażane. Chrzan z octem, sos zimny tatarski, lub gorący pomidorowy, zawsze oddzielnie, w sosjerce. Czerwona kapusta, lub biała kwaszona zaprawiona cukrem i oliwą, wszelkie zielone sałaty letnie i zimowe z oliwą, lub śmietaną doskonale do takich kotletów pasują.

Na Żmudzi jadłam nawet takie kotlety, obłożone na półmisku śliwkami francuskimi, ugotowanymi jak na kompot i do nich zwykły polski sos rumiany z cytryną i rodzenkami. Byłam chwilę niepewna, czy to jeść, — po próbie okazało się bardzo smaczne. Tę ostatnią kombinację polecam paniom, które gdzieś w głuchym kącie, nie będą mogły dostać dobrych ryb na wile, a będą chciały mieć coś z tradycyjnym wigilijnym, rodzenkowym, szarym sosem.

Pani Elżbieta

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Pani J. D. Gorczyce Wielkie.

Zamszowe rzeczy czyści się specjalną tylko do zamszu szczotką drucianą, następnie naciera się kamieniem odpowiedniego koloru i wytrzepuje. O ile torba jest ze zwyczajnej żółtej skóry trzeba ją oczyścić pomadką od bucików — jeśli zamszowa tak, jak wyżej wskazano.

Tłustą plamę z sukna wywabić benzyną, sposób wskazany, w „Dobrych Radach Bluszczu” Nr. 5 b.r.

Pani H. F. Działdowo.

Koronki weneckie robi się igłą, postaramy się umieścić w „Bluszczu” opis tej roboty, jak też i friwolitów.

* * *

P. Krakowska, ziemia Radomska.

Ostrzegam Panie, że przy farbowaniu nie można nigdy być pewną odcienia koloru, zwłaszcza gdy włosy były przedtem zniszczone złem farbowaniem. Można gwarantować tylko jednolitość koloru i nieszkodliwość farby.

Jeśli włosy są za ciemne, należy je myć często.

W rachunku omyłki nie było, gdyż zaliczona była wizyta z masażem twarzy 15 zł.

Gaw. Siedl.

Czy używanie wody utlenionej szkodzi na cerę?

Można użyć wody utlenionej od czasu do czasu (raz na parę tygodni), gdyż dobrze dezynfekuje skórę, przy częstem używaniu nigdy. Koloru pudru nie mogą Pani dobrać bez zobaczenia cery.

Przy sztuce malowania jest to najtrudniejsze zadanie i najbardziej subtelne. Puder trzeba dobierać inny do światła wieczornego, a inny do dziennego, zależy od koloru całej skóry, oczu, włosów i brwi.

◀ Kremu kamforowego używać na stałe nie radzę. Natomiast „Mój krem” nadaje się do stałego użytku. Sposób stosowania załączony do każdego pudełka.

Dr. J. Świtalska

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 8

142. Kostjum z granatowej gabardiny. Szal kolorowy.
143. Palto z wełny, lub welwetu brązowego obłożone futrem.
144. Palto z sukna piaskowego — kołnierz i mankiety aksamitne.
145. Palto z zamszu szarego, przybrana futrem.
146. Suknia z wełny koloru bois de rose — haft na jasniejszym suknie.
147. Sukienka z welwetu granatowego, przybrana fularem w kratę.
148. Sukienka z popeliny fraise, ręcznie haftowana.
149. Suknia wełniana, przybrana haftem.
150. Suknia sukienna, przybrana haftem — kamizelka i kołnierz z białego rypsu.
151. Sukni z lekkiej wełny — kołnierz biały
152. Suknia ciemno fioletowa, przybrana haftem, złotem i paciorkami.
153. Płaszcz dla małej dziewczynki, obłożony futrem.
154. Paltocik z piaskowego sukna dla dziewczynki sześciolatniej — kołnierz i mankiety fioletowe.
155. Suknia wizytowa z aksamitu czarnego — kamizelka kremowa
156. Komplet bielizny dziecięcej, ozdobiony мережką i okładany kolorowym batysem.
- 157 i 158. Bielizna dziecięca, ozdobiona мережką i haftem.
159. Kombinacja z nansuku, ozdobiona haftem dla dziewczynki niepełnoletniej.
160. Kombinacja z majteczkami dla ośmioletniej dziewczynki.
161. Kombinacja haftowana dla dziewczynki dwunastoletniej.
162. Kombinacja przybrana haftem i objęta kolorowym batysem.
- 163 i 166. Haft nat. wielkości do sukni Nr. 152.
- 164 i 165. Haft nat. wielkości do sukni Nr. 149.
167. Haft nat. wielkości do sukni Nr. 146.
168. Haft nat. wielkości do sukni Nr. 150.
- 169 i 170. Haft nat. wielkości do sukienki Nr. 148.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dziecięce	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

Wysyłanie za zaliczeniem kosztuje więcej niż forma, lub wzór i dlatego zapewne wiele prenumera-

torek nie wykupuje zamówień, narażając nas na duże straty.

Z powodu wynikłych nieporozumień wyjaśniamy co następuje: ogłaszane przez nas arkusze wzorów w cenie 30 gr., są to oddzielne arkusze, które były dodawane do „Bluszcza“ w ciągu roku 24 i 25, i których pozostała niewielką ilość możemy odstąpić naszym Czytelniczkom.

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, nie mają z temi arkuszami nic wspólnego i mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2,50, poduszka — serwetka zł. 1,50, drobne desenie gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów, poza temi, które były umieszczane w „Bluszcza“ nie wysyłamy.

NADESŁANE DO REDAKCJI

(Za dział ten redakcja nie odpowiada)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Artystka. Piegi i resztę opalenizny usunie Pani, stosując krem PRECIOŻĘ. Do zupełnego wybielenia cery bardzo pomaga pyłek JUVENIA CANDIDA, którym na noc grubo przypudrować twarz i szyję. Dla ożywienia usteczek radzę używać płyn ROSEIN, który ma tę zaletę, że jest zupełnie niewidoczny i nie ściera się, oraz nie płami.

Czytelniczko z prowincji. Wodę bezwarunkowo trzeba zmiekczać, gdyż twarda, lub żelazista woda jest największym wrogiem cery. Radzę więc do wody do mycia dodawać 1 łyżeczkę proszku LA MOLLETTE na 1 — 2 litry przegotowanej wody, i wtedy ją dopiero używać do mycia. Twarz myć stale OTRĄBKAMI ABARIDOWEMI, a z kremów polecam, jako zupełnie

nietłusty krem ABA-RID, który przy szorstkiej, łuszczącej się cerze jest wprost niezastąpiony. Używany stale, rozprowadza i wygubi zmarszczki, oraz zapobiega tworzeniu się nowych.

Kolorowej. Ręce będą stale delikatne i gładkie, o ile Pani będzie stosować codziennie PATE DE PRELATS, którego odrobinę wcierać jeszcze w wilgotne ręce po każdym użyciu.

M-me Er cedès.



Płatki owsiane tylko w tem opakowaniu w całym świecie znane są towarem pierwszorzędnym. **Quaker Oats** zawierają najbardziej odżywcze składniki wyborowego gatunku owsa i są najodpowiedniejszym pokarmem dla dzieci i dorosłych.

Quaker Oats

„LAMBRO“ Sp. z ogr. odp. Warszawa. Niecała 8 tel. 76-56.



MYDEŁ W PASCIE NISZCZY EMALIE



DENTOLIN

NAJLEPSZA PASTA DO ZĘBÓW
BEZ DODATKU MYDŁA

WYTW. AKC. "Fr. KARDPIŃSKI" W WARSZAWIE



SZKÓŁKI DRZEW OWOCOWYCH ODMIAN HANDLOWYCH I RÓŻ

WITOLDA KLENIEWSKIEGO

Lemiszczyna — Szczekarków

Polecają wyborowe drzewka i krzewy owocowe, oraz róże w najpiękniejszych odmianach, po cenach przystępnych.

Cenniki wysyła się na żądanie.

Przyjmuje się również fachowe inspekcje nad ogrodami i całkowite zakładania ogrodów przemysłowych pod kierunkiem wykwalifikowanych specjalistów.

BIURO SPRZEDAŻY:

DOM HANDLOWY B-CIA KLENIEWSKY, A. ROSTWOROWSKI I K. SZLENKIER

Warszawa, Boduena 2. Tel. 219-89.



Krem Miaflor

włoszkatnia i odświeża cerę, Chroni twarz i ręce przed pękaniem.
HENRYK ŻAK - POZNAŃ, Fabryka perfum i kosmetyków.

Wydany przez nas bardzo starannie,

ZBIÓR MONOGRAMÓW

zawierający przeszło sześćset wzorów od wykwintnych do najskromniejszych, dorównywuje pod względem wykonania zagranicznym tego rodzaju wydawnictwom, a mając charakter swoisty, bardziej odpowiada wymogom domu polskiego.

Każdy, nie umiejący nawet haftować, z naszego „ZBIORU” (ze względu na ilustrowane pouczenia) skorzystać potrafi.

Za jeden monogram płacicie Panie około 2 zł; cena naszego „Zbioru” wraz z przesyłką pocztową wynosi tylko 5 zł.

Wysyłka natychmiastowa po nadesłaniu pieniędzy przekazem pocztowym. Za zaliczką wysyłamy tylko po otrzymaniu 1 zł. znaczkami pocztowymi.

ADMINISTRACJA „BLUSZCZU”

Warszawa, Krak.-Przedm. 99.

Konto P. K. O. 3700.

Jedynie piękną cerę nadają

**KREMY I PUDRY
HIGJENICZNE**

Wyrobu Laboratorium Apteki
M. MALINOWSKIEGO
Warszawa, Nowy Świat 31.

152

HODOWLA i skład NASION

BRACIA HOSER

w Warszawie, Jerozolimska 45, telef. 581.

Poleca NASIONA wyborowe.

Cennik na rok 1926 rozsyłany
jest na każde żądanie bezpłatnie.

Firma istnieje od 1846 r.

Zawiadamiamy Sz. Panie Prenumeratorki, że
w Administracji naszej są do nabycia dołączane
do „Bluszczu” w latach 1924 i 1925

ARKUSZE WZORÓW

naturalnej wielkości robót ręcznych do kopjowania

Arkusze te można nabywać kompletami nie mniej
6 sztuk w cenie 30 gr. za arkusz, na koszt przesyłki
pocztowej kompletu należy nadesłać 20 gr.

**KOMPLET ARKUSZY Z 25 SZT. KOSZTUJE
7 ZŁ., Z PRZESYŁKĄ 7 ZŁ. 50 GR.**

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi
Rocznie—57 zł. 60 gr., kwartalnie—14.40, miesięcznie—4.80.
Zmiana adresu 30 gr.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście (Plac Zamkowy) № 99.
Telefon Nr 239-40 Konto czekowe P. K. O. Nr 3700.